Nr. 56. Lwów, Niedziela dnia 22. Września 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Książki szkolne.

Sądzićby należało, że istniejąca od lat przeszło dziesięciu autonomiczna Rada szkolna krajowa, miała podostatkiem czasu do namysłu i do nabrania doświadczenia, jakie książki szkolne są potrzebne, jak się o nie starać należy i w jaki sposób z niemi się urządzić, aby ich nie brakowało i żeby nie były zbyt drogiemi.

Niestety Rada szkolna kwestyi tej dotąd nie uregulowała; zawsze ten sam Mocnik jest mistrzem matematyki tylko na coraz nowe kopyto tłumaczony, ten sam Pütz używany jakò podręcznik do nauki historyi, tylko że go w handlu księgarskim nie ma. Zawsze ten sam chaos ze wszystkiemi książkami tylko system protekcyjny doszedł do swego kulminacyjnego punktu. Już nie tylko są protegowani wydawcy, ale i pojedyńcze księgarnie i składy papieru, piór i ołówków.

Nie tu miejsce wdawać się w ocenę książek szkolnych, jest to rzeczą specyalistów wykazać, że Pütz lepszy od Korzona, Poplińskiego, że Mocnik odpowiedniejszy od Niewęgłowskiego i tp. chcemy tylko poprzeć dowodami zarzuty wyżej uczynione.

Oto brakuje następujących podręczników szkolnych: Druga książka do czytania. — Początki nauki języka niemieckiego. — Wypisy polskie na IV klasę. — Historya starożytna Pütza. — Historya wieków średnich Pütza. — Gramatyka łacińska Samolewicza. — Etyka. — Fizyka Chlebowskiego. — Geografia Dziedzickiego i Baranowskiego. — Mineralogia — Geometrya Mocnik-Sternala. — Jest to jak się okazuje nie bagatela. Książki te są przepisane dla szkół, profesorowie podług nich wykładają, uczniowie biegają po całem mieście szukając książek, rodzice wierzyć nie chcą żeby nie było książek, które są przepisane dla szkół.

Dodajmy do tego książki, których druk został rozpoczęty i uczniowie po kawałku dostają, oczywiście płacąc wydawcom za całe dzieło chociaż całego dzieła nigdy się nie doczekają. Tak naprzykład Zoologia Nowickiego wychodzi z druku już pięć lat, a dotąd druk jeszcze nie jest ukończonym. Ci co ją zapłacili przed kilku laty, już dawno szkoły pokończyli, a dzieło jeszcze z druku nie wyszło. Takie niepokończone lub porozpoczynane są: Wypisy na II klasę i wypisy na III klasę, Historya literatury polskiej Kuliczkowskiego, Algebra, Geometrya i td.

A z czegoż się dzieci uczą? zawołasz czytelniku, toć to wszystkich książek brakuje? tak źle nie jest — owszem, jeżeli jednej połowy brakuje za to druga połowa jest aż nazbyt obfitą, i tak mamy arytmetykę Mocnika na I. II. III. IV klasę gimnazyalną tłumaczone przez Bączalskiego i arytmetykę na I. II. III. IV klasę realną tegoż Mocnika i tłumaczone przez tegoż Bączalskiego. Mamy więc ośm arytmetyk, a dziewiątą także z Mocnika tłumaczył Stanecki. Mamy dwie geometrye Mocnika, tłumaczone przez Sternala, jedną Mocnika tłumaczoną przez Bączalskiego i jedną Mocnika tłumaczoną przez Staneckiego. Mamy geografie: Belingera, Gaultiera, Dziedzicki i Baranowski, Klun, Szaraniewicz. Co za obfitość! Do języka niemieckiego mamy Janotę, Szobera, Rebena, różnych Hamerskich i Jandaureków. Mamy fizykę Rodeckiego, Chlebowskiego... i oprócz powyżej wyliczonych geometryi jeszcze dwie książki geometryi Wierzbickiego.

Obfitość ta książek jest nie mniej szkodliwą jak braki na początku wyliczone, bo już nie wspominamy co to się dziać musi w biednej głowie ucznia, który z klasy do klasy przechodząc stąpać musi z jednego Mocnika na drugiego, a ma ich prawie w każdej klasie dwóch do zgryzienia — jakie to szczęście, że ten Mocnik nie napisał jeszcze historyi i nie rozpisał gramatyk na wszystkie klasy! A ile to wszystko kosztuje! Toż gdyby był jeden podręcznik np. geografii, kilka razy mniejszy byłby koszt druku, a więc i książka tańsza, gdyby nadto nie zmieniano książek co roku, lecz ustalono używanie tej samej na dłuższy czas i wydawca mógł drukować 10 tysięcy egz. na raz, ceny byłyby bez porównania niższe, ale wydawca nigdy nie jest pewien czy jutro ktoś inny nie uzyska od Rady szkolnej przywileju na inną książkę i musi ograniczać ilość druku do minimum. Tak np. Wypisy polskie do I. klasy kosztują 75 ct., bo to jest nakład rządowy, a więc nie mogą być zmienione przed rozprzedażą wszystkich egzemplarzy, a ćwiczenia łacińskie Sobieskiego, trzy razy mniejsza książka, kosztuje 1 złr. Gramatyka polska Małeckiego nie obawiająca się konkurencyi jest nadzwyczaj tania i jest stosunkowo najtańszą książką szkolną, bo autor drukuje po 10.000 egzemplarzy na raz.

Gdyby Rada szkolna rozpisała była konkursa, gdyby wybrała i przepisała do użytku wyborowe podręczniki, a nie kierowała się rozmaitemi względami, wskutek których raz daje pierwszeństwo geografii Dziedzickiego, to znowu Kluna, raz gramatyce i wypisom Janoty, to znowu Szobera i Rebena, raz gramatyce Samolewicza, to znowu Sobieskiego, a potem znowu Samolewicza itd., tobyśmy mieli lepsze książki i bez porównania tańsze, a nigdyby ich nie brakło w handlu. System protekcyjny jest tak dalece rozwinięty, że nauczyciel nakazuje uczniom kupować książki np. w księgarni p. X., jak gdyby nie te same książki były we wszystkich księgarniach. Rodzice cichaczem wchodzą do innych księgarń i pod sekretem kupują książki w obawie, aby wiadomość o tem, że nie u p. X. kupili, nie ściągnęła niezadowolenia profesora i jego niechęci do ucznia. Dalej np. nauczyciel każe uczniom kupować skryptury czerwone. Uczniowie biegają po całem mieście, nigdzie takowych nie znajdując, aż nareszcie ktoś odszukuje u p. Y., który właśnie dał czerwone okładki na skryptury, chociaż same skryptury niczem się nie różnią od innych. Opowiadał nam pewien kupiec, że posiada na składzie 56 gatunków ołówków, ale nie mógł dogodzić p. profesorowi, który właśnie jakiś inny gatunek świeżo przez kupca Z. sprowadzony polecił uczniom i kto przynosił inny, narażony był, że mu p. profesor ołówek złamał i kazał kupić polecony.

Z prawdziwą przykrością przychodzi nam spisywać podobne fakta, ale tylko wyjawienie

ich może usunąć nadużycia, które tak bardzo nie licują z godnością stanu nauczycielskiego.

Nie będziemy wskazywali szkodliwych dla kraju skutków jakie podobna gospodarka za sobą pociąga. Nie będziemy też wyliczali wielu innych wiadomych nam faktów płynących z tego nieszczęsnego systemu protekcyjnego, w nadziei, że kilka słów powyższych będzie dostatecznym bodźcem do zaniechania podobnej gospodarki, chyba że będziemy zmuszeni po raz drugi w tej sprawie głos zabrać.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Zdrojowiska, do których udała się rodzina bankiera, były tego roku bardzo mało ożywione. Osób wprawdzie znajdowało się dosyć, ale nie było nikogo, coby je związał w towarzystwo dla przyjemności i zabawy. Każda familijka chodziła osobnikiem, na spacerach nigdy więcej nad cztery osoby nie można było spotkać razem. Wszystko to krążyło koło siebie, obserwowało się z ukosa, obmawiało po cichu, a przy tem nudziło się okropnie. Każdy narzekał na brak towarzyskiego życia, a każdy usuwał się od niego. W pogodę jeszcze spacery jako tako wypełniały czas; chodzono po lesie, po polach, po deptaku, a każde gronko swoją ścieżeczką niby mrówki, unikając starannie spotkania się z kimkolwiek. Resztę dnia zapełniło picie wód, kilkakrotne przebieranie się i pobyt w restauracyi. Ale w słotę, kiedy to drobny kapuśniaczek rozdeszczył się na dobre, rozmoczył najtwardsze chodniki, że niepodobna było prawie z domu się wychylić, wtedy to dopiero desperacya brała jak zabić tych kilkanaście godzin wolnego czasu. Stare panny bawiły się kabałą, pasyansami, młodzież w restauracyi szturkała w bilard albo ciągnęła banczek; ale nieszczęśliwe panny nie miały żadnej podobnej rozrywki. Nawet ubierać się nie mogły, bo nie było komu pokazać pięknych toalet. Nawet reunionów, owych oficyalnych w każdych kąpielach reunionów nie było, nie tyle dla braku młodzieży, bo od biedy po zakątkach można by było wyszukać ich tylu, wiele potrzeba koniecznie na złożenie jakiego takiego kompletu do kadryla lub mazura; ale nie było nikogo, coby starał się urządzić coś podobnego. Młodzież przedsiębiorcza, ochocza, dla której taniec jest popisem, rzemiosłem i środkiem ustalenia sobie losu, zrażona brakiem posażnych panien, wyniosła się do innych zdrojowisk. Zostali synkowie mameczek, kuzynkowie przy kuzynkach, kilku łysych kawalerów i kaszlącej młodzieży trochę. Próbowano i z tej garstki niedobitków złożyć reunion. Stawiła się ich spora liczba w czarnych frakach, tużurkach i wszelakiej barwy rękawiczkach; ale cóż, kiedy ani jedna dama nie pokazała się na sali. Żadna nie chciała być pierwszą i bal skończył się grą w karty i pijatyką zdesperowanych tancerzy.

Nudy tedy były takie, że najokrąglejsze twarze stawały się podługowate, oczy malały z ciągłej drzemki, a ziewano tak, że się zdawało, że szczęki powyskakują z osady.

Mimo to rodzina Nadermanów, która wyjątkowo składala się z pięciu osób, bawiła tu już blisko trzy tygodnie i zamyślała bawić dłużej jeszcze, bo tak spodobało się ukochanej jedynaczce.

I ona także się nudziła, więcej jeszcze może niż inni; grymasiła, wydziwiała, a ofiarą jej złego humoru bywał najczęściej nieszczęśliwy Adolf. Łajała go, maltretowała, traktowała nieraz gorzej jak służącego i nieborak znosił to wszystko w nadziei, że nadejdzie przecież jakaś lepsza chwila, w której będzie miał sposobność oświadczyć się i zaręczonowym pierścionkiem okuć paluszek Julii. Liczył wiele na owego walca, do którego został zaangażowany przez nią; ale balu nie podobna było złożyć, bo pierwszy nieudany, odjął odwagę najchętniejszym, gdy im przyszło zapłacić koszta urządzenia. Drugi raz nikt nie chciał się narażać na podobne wydatki.

A tu tymczasem zły humr Julii codzień stawał się gorszy. Rodzice proponowali jej, aby wyjechać do innych zdrojowisk, gdzie podobno wcale dobrze się bawiono; ale Julia ciągle im odpowiadała: później, później tam pojedziemy.

Adolf i aptekarz domyślali się powodów tej zwłoki, i nieraz przy grze w szachy, kiedy Julia na przedstawienia Adolfa, że tu nie ma po co siedzieć, bo coraz będzie nudniej, odpowiadała z uporem: „to jedź pan sobie, gdzie się panu podoba, a ja tu zostanę, bo mam w tem swój powód“ — zamieniali ze sobą znaczące spojrzenia i uśmiechali się w cichości. Oni wiedzieli, że Julia czeka na przyjazd Jana i wiedzieli także, że on nie przyjedzie.

To też nie małe było ich zdziwienie, kiedy jednego dnia wracając we dwóch z wycieczki z gór, ujrzeli na spacerze Jana w towarzystwie Julii. Był niezwyczajnie wesoły, ożywiony, rozmawiał z Julią z takiem zajęciem, że nie spostrzegł nawet, gdy się zbliżyl do nich; musieli aż odezwać się do niego, aby zwrócić jego uwagę na siebie. Powitał ich dość obojętnie, lekceważąco prawie i zwrócił się znowu do Julii. Rozmawiając oboje, wyprzedzili znacznie towarzystwo, nie troszcząc się wcale o resztę osób. Tak samo zachowywali się w salonie, byli ciągle tylko sobą zajęci, ciągle przy sobie. Nawet przy herbacie Julia usadowiła Jana obok siebie, sama podała mu herbatę, przysunęła mu talerz z ciastkami, słowem była dla niego taką jak dla nikogo. Trudno było poznać, że to ta sama kapryśna, rozpieszczona Julia, radość z powodu przyjazdu Jana zmieniła ją zupełnie. Szło jej widocznie o to, aby przybyły gość był z niej zadowolony, starała się ująć go sobie. I udało się to jej w zupełności, bo Jan także tylko ją jedną widział przy stole, nie mięszając się wcale do ogólnej rozmowy. Oboje po cichu szeptali ciągle ze sobą, i nim jeszcze wstano od herbaty wynieśli się pod okno dla swobodniejszej pogawędki.

Można sobie wyobrazić, co się działo Adolfowi, kiedy tak nagle, bez przygotowania poszedł w odstawkę. Julia zapomniała o nim zupełnie. Chodził więc zły, nadęty z kąta w kąt, rzucając na przemiany piorunujące spojrzenia to na Jana, to w zwierciadło, kręcąc niemiłosiernie wąsy. Pocieszał się nieborak z początku tem, że Jan z krótką wizytą wpadł do zdrojowisk i dlatego Julia chce się z nim nagadać do woli; ale nie długo trwała ta jego pociecha, bo przy herbacie Julia wspominała o projekcie jakiejś wycieczki w góry w przyszłym tygodniu, do której także Jan miał należeć. Dosłyszał także, jak mówili o wspólnym powrocie do Wiednia. Adolf był tem niesłychanie wzburzony. Nie pojmował, jak może Julia przenosić nad niego takiego, nieokrzesanego drągala, który więcej się nadaje do rąbania drzewa, niż do eleganckiego towarzystwa. Miał nawet ochotę powiedzieć mu to, gdyby się nie był obawiał jakiejś dosadnej niegrzeczności z jego strony. Adolfowi zbywało na odwadze. Dla tej samej przyczyny zaniechał myśli pojedynku, która mu się parę razy przewinęła po głowie, gdy patrzał na szczęśliwego rywala. Wolał zostawić te rzeczy naturalnemu biegowi. Był pewny, że Julia znudzi się prędko tą zabawką krajowego wyrobu. Że to jej żywe zajęcie się przybyłym, to tylko kaprys, a może też chęć podrażnienia go, obudzenia zazdrości. Zarozumiałość jego była gotową uwierzyć w to ostatnie przypuszczenie. Postanowił sobie nawet odpłacić jej figlem za figiel i udawać obojętnego, ale mu to z trudnością przychodziło.

Leon i aptekarz, jakkolwiek mniej interesowani w tej sprawie, przecież nie mniej zaintrygowani byli tak przyjazdem Jana, jak i jego całem zachowaniem się. Mniej dziwne by im to się wydawało, gdyby byli znali bliższe szczegóły tyczące się znalezienia kosztowności bankiera. Ale policya udzieliła tylko ogólnikowych wyjaśnień, że odkryto miejsce, gdzie złożone były skradzione przedmioty, i że poszukuje się złoczyńców. Resztę szczegółów zachowała dla siebie; potrzebną była tajemnica do dalszego toku śledztwa. Aptekarzowi tedy ani przez myśl przejść nie mogło, żeby żydówka wmięszaną była w tę sprawę. Odjechał Jana zakochanego w niej po uszy, to też trudno mu było zrozumieć teraz to jego mocne zajęcie się Julią, które miało wszystkie pozory szalonej miłości. Nie mógł, rozumie się, domyśleć się, że zrozpaczony używał tej miłości jak odurzającego napoju, aby zapomnieć o tem co go bolało i gryzło.

Jan spodziewał się zapewne, że Leon i aptekarz zechcą go badać, a że nie miał wcale ochoty spowiadać się przed nimi, więc wyszedł pierwej nim mieli czas skończyć rozpoczętą po kolacyi partyą. Na drugi dzień, kiedy Leon przyszedł do niego koło dziesiątej, nie zastał go już w domu. Spotkał go dopiero na spacerze koło źródła, ale już w towarzystwie Julii. Odtąd nieodstępnie znajdował się przy niej, unikając starannie rozmowy tak z nim jak i z aptekarzem. Ignorował ich prawie. Było to tak widoczne, że musieli ostatecznie poznać się na tem, iż nie życzy sobie przestawać z nimi. Dali mu więc pokój i nie próbowali narzucać mu się więcej, może przez delikatność, a może też dla tego, że postępowanie jego obudziło w nich pewne wątpliwości w jego uczciwość i czystość charakteru. Unikanie ich było jakby przyznaniem się do winy. Leon po swojemu uśmiechał się tylko złośliwie, a aptekarz klął i mruczał pod nosem:

— A ja byłbym głowę oddał za tego chłopca. No i wierz tu ludziom. Gdzież ja mogłem przypuszczać, że go złoto tak oślepi, że

dla niego porzuci uczciwą dziewczynę. Jeżeli to zrobi, to kwita z nami, ręki mu nawet nie podam.

— Jeżeli każdego zechcesz w ten sposób karać, mój aptekarzu — powiedział Leon — to każ sobie ręce poobcinać, albo zaszyć w kieszenie, bo będą ci prawie niepotrzebne.

— Rób pan jak chcesz; ale ja przynajmniej znać go nie chcę.

— Nie potrzebujesz robić tych postanowień, mój aptekarzu, ani ty ani ja, on nam ułatwił zadanie, bo pierwszy zaczął nas nie znać.

— Dobrze. A więc nie będziemy się znać wzajem.

I odsunęli się całkiem od niego i od całego towarzystwa bankierów. Wynagradzali sobie to zaciętą grą w szachy po całych dniach prawie. Tylko Adolf dotrwał odważnie a przynajmniej cierpliwie na stanowisku, pomimo, że były chwile, w których można było stracić najcierpliwszą cierpliwość. Julia bowiem obchodziła się z nim tak, że trzeba było być tak pewnym siebie i zarozumiałym jak Adolf, aby nie wiedzieć, że w stosunku do niej zeszedł do podrzędnej roli służącego prawie. Odzywała się do niego wtedy tylko, kiedy potrzebowała jakiej posługi od niego, a nie zważała na niego wcale, kiedy był jej niepotrzebny. Adolf w tem posługiwaniu się nim widział dowód zaufania Julii i starał się wszelkimi sposobami dać poznać Janowi i światu całemu, że stoi z nią w poufałym stosunku narzeczonego. Ale w końcu za dużo mu już było tej poufałości, która zrobiło z niego „kawalera do rzeczy," jak go powszechnie nazywano. Julia bowiem bez ceremonii używała go do noszenia swego szala, okrycia, parasolki, kubka na wodę, książki do czytania; ile razy chciała się uwolnić od jego towarzystwa posyłała go dowiedzieć się kto przyjechał lub odjechał, to zobaczyć czy na poczcie nie ma do niej jakiego listu, to kazała mu szukać furmanek na wycieczkę, a na wycieczkach polecała mu szukanie po lesie kwiatków dla niej; tak, że nigdy prawie nie mógł być przy niej, a tymczasem Jan nie odstępował jej ani na chwilę. Pokazywała się z nim publicznie pod ręką na spacerach i zachowywała się względem niego tak, że w oczach wszystkich uchodził za jej narzeczonego.

Adolf pomimo wiary w swoją urodę i elegancyą, która robiła go zarozumiałym i próżnym aż do głupoty, zaczął poznawać, że odgrywa bardzo śmieszną rolę i postępowanie Julii znajdował bardzo niewłaściwem. To też kiedy raz pokazała się rano na spacerze koło źródła sama z Janem pod rękę, Adolf zgorszony tem, ośmielił się przy sposobności, kiedy na chwilę znalazł się z nią sam na sam, zrobić jej uwagę, że się kompromituje afiszując się z byle kim w obec ludzi.

Julia spojrzała na niego tak piorunującym wzrokiem, że aż zmięszał się.

— Kto panu dał prawo robić mi takie uwagi? — spytała groźnie.

— Przepraszam panią, że śmiałem, niech się pani nie gniewa, ale życzliwość, długa znajomość.

— Ta długa znajomość może się krótko skończyć, jeżeli pan ośmieli się powtórzyć mi jeszcze kiedy coś podobnego.

— Ależ pani, to nie jest tylko moja uwaga, wszyscy są tem zdziwieni, zgorszeni. Zaledwie z narzeczonym uszłoby coś podobnego.

— To pan powiedz wszystkim, że to mój narzeczony, żeby się już przestali gorszyć i dziwić.

— On? Pani narzeczony? — spytał Adolf i uśmiechnął się lekceważąco. — W to przecież trudno uwierzyć.

Śmiech ten rozgniewał Julią i chcąc pokazać mu, że nie ma w tem nic śmiesznego, rzekła:

— Abyś pan łatwiej mógł uwierzyć w to niepodobieństwo, to panu powiem, że już nawet dzień ślubu oznaczony. Jeżeli panu zdrowie i chęci dopiszą zapraszam pana na „vortänzera" na moje wesele.

— Pani pozwalasz sobie okrutnie żartować ze mnie — odezwał się słabym głosem Adolf blednąc i tracąc właściwą sobie pewność i odwagę.

— Z końcem przyszłego miesiąca przekonasz się pan, czy to były żarty.

— Ależ na Boga, pani, cóż wtedy ze mną się stanie? Wszak pani wiesz jak panią kocham. Zdawało mi się nawet, że zdołałem pozyskać wzajemność pani, gdy tymczasem pani jednem słowem gruchoczesz wszystkie moje marzenia, nadzieje. Cóż ja nieszczęśliwy zrobię? Ja nie mógłbym żyć bez pani.

— To się pan powieś, albo utop. Jedyna rada jaką panu dać mogę na tak nieuleczalną miłość — rzekła z drwiącym uśmiechem, a że właśnie Jan przyszedł w tej chwili, więc wzięła go pod rękę i odchodząc skinęła na pożegnanie głową Adolfowi, który stał jakby w słup soli zamieniony, z miną okropnie głupią i nieszczęśliwą i rzekła mu z uśmiechem:

— Do widzenia na innym świecie.

Nie wiadomo czy w skutek tej rozmowy, czy z innego jakiego powodu, Adolf tego samego jeszcze dnia nagle gdzieś wyjechał. Julię trochę zaniepokoił ten wyjazd, nie dla tego, jakoby się obawiała, że Adolf gotów pójść za jej żartobliwą radą, znała go bowiem dobrze pod tym względem i była przekonaną, że nie byłby zdolny zrobić sobie najmniejszej przykrości, cóż dopiero odbierać sobie życie; ale gniewało ją to, że tak łatwo pozwolił sobie wyperswadować tę gwałtowną miłość. Spodziewała się, że będzie się starał zmiękczyć jej serce prośbami, westchnieniami, łzami, że będzie jak cień chodził za nią żebrząc choć odrobinę wzajemności, była już prawie przygotowaną na to, że będzie przez niego umęczoną, nudzoną, a jednak wolałaby była to, jak że odjechał tak nagle. Osoby takie, jak ona, lubią wlec za rydwanem swoim niewolników, schlebia to ich próżności. To też Julię zirytowało, że Adolf tak prędko urwał się od tego rydwanu i uciekł.

Musiało ją to obejść trochę, kiedy aż Leona posłała dowiedzieć się w domu, gdzie mieszkał Adolf, co spowodowało jego tak nagły wyjazd. Leon przyniósł jej wiadomość, że Adolf dostał podobno jakiś list i zapewne w skutek tego wyjechał.

— Może stryj jego umarł albo zachorował — rzekła Julia uspokojona już nieco tem wyjaśnieniem.

— Wątpię, bo mówiono mi, że wyjeżdżając miał bardzo wesołą minę. Gdyby stryj jego był bogaty, to by można sobie łatwo wytłomaczyć tę wesołość. Tu musi być inny jakiś powód. Dowiemy się zapewne od niego samego.

— Czy ma wrócić? — spytała żywo.

— Prawdopodobnie, bo zostawił swoje rzeczy.

— No, to w takim razie będziemy mieli jeszcze przyjemność nudzenia się w jego towarzystwie — mówiła drwiąco Julia odzyskawszy wesoły humor. — A może pojechał po odwagę i pistolety. Panie Janie, przygotuj się pan na pojedynek.

I wybuchnęła głośnym śmiechem; tak nieprawdopodobnem wydawało jej się to, co powiedziała.

Jan także nie posądzał Adolfa o odwagę, a jednak pojedynek nie wydawał mu się znowu tak nieprawdopodobnym. Najwięksi tchórze w takich okolicznościach zdobywają się na pojedynek, a u Adolfa tem więcej można to było przypuszczać, że nie miał nic do stracenia straciwszy nadzieję otrzymania ręki Julii. Jej majątek był ostatecznym celem nadziei jego; dlatego było możebnem, że dla osiągnięcia tego celu nie będzie się wahał dać na ostatnią stawkę życie swoje. Jan myślał o tej możebności pojedynku z pewną radością wewnętrzną, on pragnął pojedynku nie dlatego, żeby zwyciężyć przeciwnika, ale może więcej dlatego, żeby zginąć. Życie było dla niego ciężarem i chciał co prędzej uwolnić się od niego. Dziwnem wydawać by się mogło to pragnienie śmierci w obec wesołości i dobrego humoru, w jakim go zawsze widziano, a więcej jeszcze w obec tych oznak miłości dla Julii, z jakiemi afiszował się przed ludźmi. Ale ktoby mu się był baczniej przypatrzył, mógłby był łatwo dostrzedz że w tej nienaturalnej wesołości był chorobliwy, stan jego duszy, wesołość jego była szaleństwem, a miłość dla Julii rodzajem upajającej trucizny, w której szukał zapomnienia cierpień, co nurtowały jego serce. Zapomnienie było chwilowe tylko, bo kiedy był sam, ponury smutek rozsiadał się na jego twarzy i rozpaczna walka toczyła się w jego piersiach. Czuł to dobrze, że nie powinien tu się znajdować przy Julii, bo tem bezcześcił boleść swoją po stracie Amelii. Ona sama wprawdzie przestała już istnieć dla niego, hańba ojca rzuciła przepaść nieprzebytą między nimi; ale to uczucie, jakie wzbudziła w jego sercu, żyło jeszcze, przypominało mu się wspomnieniem na każdym kroku. Nawet wśród śmiechu, wśród zabawy, smutna twarz żydówki stawała mu na oczach jak wyrzut sumienia. Śmiech zdawał mu się zbrodnią, uwłaczał nim pamięci umarłej miłości, po której żałobę smutku nosić mu należało. Cóż, kiedy nie miał siły cierpieć, potrzebował rozerwać się, odurzyć się czemś, a kiedy na chwilę wracał do przytomności, z obrzydzeniem myślał o tem, co robi, czuł wstręt, pogardę dla samego siebie i aby nie myśleć o tem, uciekał do Julii i znowu odurzał się, szalał. W takiem rozpaczliwem położeniu, pojedynek był dla niego jedynem lekarstwem. Umrzeć, to był może najlepszy punkt wyjścia z tego labiryntu sprzecznych uczuć, wśród których zabłąkała się dusza jego.

Ale ten, który miał mu pomódz do wyjścia, tj. Adolf, nie zjawiał się. Natomiast zjawił się inny rywal do Julii w osobie barona Lichockiego. Była to mała figurka, ruchliwa, jakby na sprężynkach, której wieku trudno by było oznaczyć. Z wzrostu i całej drobnej postaci wy-

*

glądał na studencika, żeby miał prześlicznej białości i równości, ale mówiono, że wprawiane; włosy czarniutkie jak atrament, ale mówiono, że czernione, wąsiki krótko przystrzyżone, w koniuszkach zakręcone po węgiersku do góry; ale także czernione i wypomadowane; nareszcie twarz sama bielutka, gładziutka, pięknie zarumieniona; ale podobno malował się. Tak więc wszystko u barona było sztuczne, nikt nie wiedział naprawdę jakim jest właściwie, bo to, co się widziało, nie było nim. Przyjechał tu pocztą z innych zdrojowisk, z listem polecającym do Jana od jednego z jego znajomych i od razu bez ceremoni i ogródek objaśnił go o celu swego przybycia, a mianowicie, że przyjechał starać się o rękę panny Julii Naderman, bo mu doniesiono, że poprzedni konkurent, jakiś pan Adolf, dostał kosza i wyjechał. Życzył sobie więc, aby Jan, który, jak słyszał, zna państwa Nadermanów z Wiednia jeszcze, wprowadził go w ten dom. (C. d. n.)

RZECZ O POJEDYNKU

przez

Dra Józefa Rosenblatta.

I.

(*Wstęp: o pojedynkach w ogólności; zachowanie się ustawodawstwa względem pojedynków; pojedynek jako przestępstwo, jego pojęcie i rodzaje.*)

(*Ciąg dalszy*).

2) Niektóre ustawodawstwa, a do nich zaliczyć należy poniekąd także obowiązujący dotąd kodeks karny austryacki z r. 1852, kładą pojedynek na równi z zbrodniami przeciw bezpieczeństwu życia i ciała, zaliczają go do tychże przestępstw i karzą w miarę skutków pojedynku jako morderstwo, ciężkie uszkodzenie cielesne itd.; przy czem naturalnie kary za pojedynek zagrożone, są hańbiące i pociągają za sobą utratę praw politycznych, jak to ma się mianowicie w kilku stanach amerykańskich. Postanowienia takie mają oczywiście na celu odstraszenie, a moc odstraszającą wywiera właśnie w Ameryce zagrożona utrata praw politycznych. Ale zrównanie pojedynku z morderstwem, zabójstwem i ciężkiem uszkodzeniem cielesnem nie da się przeprowadzić, bo jest niezgodnem z tak bardzo rozpowszechnionym poglądem na pojedynki, niezgodne z faktem, że poczucie honoru, aczkolwiek często zbyt drażliwe, jest powodem i motorem do pojedynku; a karać tego, który stanął do śmiertelnej walki w obronie swego honoru, utratą praw honorowych, sprzeciwia się opinii publicznej, sprzeciwia się przesądowi. Ustawodawca nie powinien wprawdzie poddać się przesądowi i przesąd uczynić prawem, ale nie może również wystąpić wprost przeciw szeroko rozpostartemu poczuciu prawnemu, które nie pozwala zrównać pojedynku z morderstwem, nie może stanowić ustaw, któreby opinię publiczną gwałciły, bo ustawy takie martwą zostałyby literą i zmuszałyby tylko sądy i przysięgłych do statecznego uwalniania oskarżonych o pojedynek, jak tego wieloletnia mianowicie we Francyi uczy praktyka. Ustawodawca winien pamiętać, że przeciw zrównaniu pojedynku z morderstwem, zabójstwem i t. d. dwa ważne przemawiają powody, dwa momenta charakteryzujące pojedynek. Najpierw bowiem odbywa się pojedynek jawnie, za wzajemną zgodą i wzajemnem porozumieniem się, odbywa się na mocy umowy pojedynkujących się według pewnych tradycyjnych reguł, których przekroczenie jest surowo zabronione i odbiera pojedynkowi jego charakter walki honorowej. Obydwaj pojedynkujący zatem narażają zarówno swe życie, obydwaj zezwalają na odebranie sobie takowego. Ma tu zatem zastosowanie zasada: „volenti non fit injuria,“ (zezwalającemu nie dzieje się krzywda), która wprawdzie nie może nigdy uniewinnić tego co w pojedynku zabił drugiego, ale zawsze znacznie winę jego łagodzi i na zniżenie kary wpływa. A powtóre zważyć należy, że pojedynek odbywa się często pod presyą opinii publicznej, pod grozą skutków, jakieby nieprzyjęcie wyzwania niechybnie sprowadziło, odbywa się nieraz pod przymusem z góry pochodzącym; częste bowiem mieliśmy i mamy dziś jeszcze przykłady, że odrzucenie wyzwania do pojedynku zamyka podwoje współzawodników, wyklucza odmawiającego z towarzystwa, zmusza go do stronienia społeczeństwa, do porzucenia stanowiska. Przymus przesądu zatem odgrywa tu niemal rolę siły nieprzepartej, którą przy ocenieniu pojedynku zawsze uwzględnić wypada.

I ten drugi system zatem, system zrównania pojedynku z zbrodniami przeciw bezpieczeństwu życia i ciała, nie jest odpowiednim, bo nie jest naturalnym, lecz owszem naturze rzeczy przeciwnym dopóty, dopokąd pojedynek jest uprzywilejowanym sposobem załatwiania tak zwanych spraw honorowych i dopokąd tak zwana opinia publiczna główną w takowym odgrywa rolę. Lepiej stanowić ustawy mniej surowe przeciw pojedynkowi, ale ustawy wykonalne i wykonywane, aniżeli stanowić ustawy surowe i nie wykonywać ich; wiadomą bowiem jest rzeczą, że w państwach mających surowe ustawy przeciw pojedynkom, pojedynek wtedy tylko bywa ścigany sądownie, jeżeli zakończył się śmiertelnie, lub nadzwyczajną jakąś wywołał sensacyą, większość pojedynków zaś, aczkolwiek sądy dobrze o nich wiedzą, nigdy przed sąd się nie dostaje, bo się utarło mniemanie, jakoby pojedynków sądownie ścigać nie wypadało. Błędne to mniemanie nigdyby nie było powstało, gdyby ustawy przeciw pojedynkowi były mniej surowe, lecz za to wykonywane. Słusznie powiedział któryś minister sprawiedliwości francuski przedkładając projekt ustawy przeciw pojedynkom, że każda walka między ustawami a obyczajami narodu jest zgubną dla ustaw, bo obyczaje są również ustawami, i to ustawami żyjącemi i działającemi. Przesąd może być karygodnym, lecz ustawa karząca przesąd jako zbrodnię pozostanie bez skutku, dopokąd przesąd panowanie swe rozpościera. Należy się przeto obawiać, że karząc zbyt surowo pojedynki, stwierdzi się tylko niemoc ustawy.

Tu wspomnieć należy także o postanowieniach o pojedynku kodeksu szwajcarskiego kantonu Waad, które dla swej oryginalności zasługują na wzmiankę; kodeks ten kładzie bowiem pojedynek na równi z zwyczajnemi bitkami karczemnemi, stanowiąc w rozdz. 2 tytułu V. „o bitkach i pojedynkach“ — „von den Raufhändeln und den Duellen.“ Ustawodawca chciał przez to pozbawić pojedynek nimbusu honorowego, którym go opinia publiczna otacza, ale usiłowanie to natrafia w opinii publicznej na zbyt silny i niepokonalny opór.

3) Pozostaje nam tedy jeszcze jeden sposób zachowania się ustawodawstwa względem pojedynków, sposób najodpowiedniejszy, a właściwie jedynie stosowny, widzący w pojedynku odrębne i samoistne przestępstwo, które wprawdzie z powodów, jakie zaraz wyłożymy, bezkarnem pozostać nie może, którego ocenienie i ukaranie jednak nastąpić winno według właściwych szczególnych zasad, zgodnych z opinią powszechną i istocie pojedynku odpowiednich.

Pojedynek jest przestępstwem, na to godzą się wszyscy, bo narusza nietylko prawa jednostki, nietylko godzi na życie i zdrowie pojedynczych obywateli, ale krzywdzi również państwo, narusza porządek społeczny, podstawę bytu państwa, zamąca spokojność publiczną. Ale jak z jednej strony niemal wszyscy godzą się dziś na to, że pojedynek w rzeczy samej za przestępstwo uważany być musi, tak z drugiej strony wcale nie ma zgody co do pytania, jakiem przestępstwem jest pojedynek, czy jest przestępstwem li tylko przeciw jednostce, czy też przeciw państwu, w czem polegają istotne jego znamiona, główne momenta jego karygodności. Przy innych przestępstwach pojęcie, zakres ich, koło działań, karze kryminalnej podpadających, każdemu są jasne i wiadome, a prawodawca stanowiąc ustawy karne, opiera się jedynie na poczuciu prawnem żyjącem w ludzie, na prawie znanem i uznawanem powszechnie; przeciwnie przy pojedynku prawie wszystkie jego znamiona są niejasne, momenta jego pojęcia chwiejne, niepewne, określenie i zakres jego równie sporne jak np. pytania, czy podpada pod pojęcie pojedynku pojedynek między mężczyzną a kobietą, lub pojedynek między dwiema kobietami itp. Na pytanie, w czem polega istota pojedynku, nasuwa się zrazu odpowiedź: cechą pojedynku jest okoliczność, że pojedynek odbywa się za wolą i zgodą pojedynkujących się, a więc obie strony zarówno życie swe narażają, walcząc bronią równą; ale gdyby to tylko było cechą pojedynku, to pojedynek byłby istotnie zbrodnią przeciw bezpieczeństwu życia i ciała, karaną jedynie łagodniej ze względu na zasadę „volenti non fit injuria,“ ale karaną w miarę jego skutków; a przecież czujemy to wszyscy, że pojedynek a zabójstwo, to rzeczy różne, a nadto wymagamy — a większość ustawodawstw w rzeczy samej tak stanowi, ażeby nietylko pojedynek stoczony był karygodnym, ale i pojedynek jeszcze nie stoczony, a nawet samo wyzwanie na pojedynek i przyjęcie onegoż. W czemże więc polega karygodność wyzwania na pojedynek? Wszak usiłowanego zabójstwa nikt się w niem nie dopatrzy?

Zadajmy sobie pytanie w innej formie, co jest pobudką pojedynku? dla czego się ludzie pojedynkują? Zazwyczaj z powodu krzywdy doznanej na honorze. A czyż nie ma na to środka innego, środka legalnego, ustawą wskazanego? Czyż państwo nie karze obrazy honoru, i nie ustanowiło *na to* sądy, ażeby rozsądziły obrażającego i obrażonego i zasłużoną wymierzyły karę? Tak jest bezsprzecznie, ale pojedynkujący się gardzą sądem państwa; nie uznają powołania państwa do rozstrzygania i sądzenia ich sporu; wyłamują się z pod jurysdykcyi sądów państwowych i sami sobie sprawiedliwość wymierzają; uciekają się do broni i prowadzą wojnę domową. Otóż mamy cechy pojedynku i pojęcie jego jako przestępstwa. Pojedynek jest wyłamaniem się z pod jurysdykcyi sądów przez państwo ustanowionych, które państwo w własnym interesie musi ukarać; jest wyrządzeniem sobie sprawie-

bliwości na własną rękę, którego państwo u siebie nie może ścierpieć; jest wojną domową, której państwo musi zapobiedz. Pojedynek jest tedy krótko mówiąc przestępstwem przeciw wymiarowi sprawiedliwości w państwie, jest zatem w pierwszym rzędzie przestępstwem przeciw państwu, przeciw porządkowi społecznemu. Tak też pojmują pojedynek ustawodawstwa nowsze, a tak samo pojmowano go już dawniej, mianowicie we Francyi, kraju rodzinnym pojedynków nowożytnych, tak mianowicie powiada Henryk IV. w wstępie edyktu z roku 1602 przeciw pojedynkom wydanego co następuje: „nôtre autorité royale est grandement offensée par tels actes, se présumant un particulier sans nôtre permission, de donner camp pour le combat dans nôtre royaume et de se faire la justice lui — même sous prétexte de conserver l'honneur, lequel néanmoins l'oblige devant toute chose de porter respect à son prince souverain et obéissance aux lois de sa patrie, (nasza władza królewska jest w wysokim stopniu obrażoną takimi czynami, którymi jednostki poważają się bez naszego zezwolenia prowadzić walki w królestwie naszem i sami sobie sprawiedliwość wymierzają pod pozorem bronienia czci, która przecież nakazuje przedewszystkiem poszanowanie dla króla swego i posłuszeństwo dla praw ojczyzny); a według innego znów edyktu pojedynkujący się mają być karani „comme transgresseurs des commandemens de dieu, rebelles au roi, infracteurs des ordonnances, violateurs de la justice, perturbateurs du repos et de la tranquillité publique“ (jako przekraczający przykazy boskie, buntujący się przeciw królowi, łamiący rozporządzenia, gwałcący sprawiedliwość, naruszający spokój i porządek publiczny.)

Zapatrywania się na istotę przestępstwa w pojedynku są jednak, jak rzekliśmy wyżej, różne i nadzwyczaj liczne i tak upatrują w nim najpierw jak już wspomnieliśmy, zbrodnię przeciw bezpieczeństwu życia i ciała, następnie widzą w nim, jako znamię charakterystyczne — usiłowanie pozbawienia państwa jednego z obywateli, dalej przymus bezprawny polegający na tem, że wyzwany nie mogąc wyzwolić się z pod ogólnego przesądu zmuszonym jest wyzwanie przyjąć; inni znów autorowie widzą w pojedynku niedozwoloną pomoc własną, bunt przeciw władzy i powadze państwa itd., słowem zdania są poróżnione, poglądy przeróżne. A podobnie jak nie ma zgody w nauce, tak i ustawy postępują sobie rozmaicie, jedne zamieszczają przepisy o pojedynku w związku z postanowieniami przeciw zbrodniom dotykającym życia lub ciała, jak kodeks szwedzki, belgijski, inne stanowią o nim w rozdziale o zbrodniach przeciw władzy państwa, przeciw porządkowi publicznemu itd. Ustawy najnowsze, jak ustawa niemiecka i projekt nowej ustawy karnej austryackiej stanowią o pojedynku w rozdziale osobnym zaraz po obrazie, co też jest najodpowiedniejszem, bo obraza i pojedynek są w dzisiejszym stanie rzeczy pojęcia prawie nierozłączne, nie znamy pojedynków innych aniżeli honorowych, a mówiąc o pojedynku myślimy zawsze także o zniewadze, obraza jest prologiem pojedynku.

Skreśliliśmy tedy pojęcie pojedynku jako przestępstwa; dodać tylko jeszcze należy, że przez pojedynek rozumiemy ze stanowiska nauki prawa karnego umówioną między dwiema osobami walkę stoczoną bronią zabójczą według pewnych prawideł i zazwyczaj, ale nie koniecznie, celem zadośćuczynienia za zniewagę. Podane tu znamiona pojedynku omówimy szczegółowo w części dogmatycznej; na tem miejscu podamy tylko jeszcze rodzaje pojedynków, poczem przystąpimy do skreślenia zajmującej i wielce pouczającej historyi pojedynku.

Rozróżnić możemy i rozróżniają zazwyczaj następujące rodzaje pojedynku: pojedynek zwyczajny, pojedynek kwalifikowany (ciężki), pojedynek nagły czyli spotkanie się (rencontre), napaść (attaque), pojedynek studencki, pojedynek wojskowy i pojedynek amerykański.

Pojedynek zwyczajny bywa umówiony i ułożony z góry, kilka dni naprzód, zazwyczaj za pośrednictwem osób trzecich (sekundantów) itd., otóż, jeżeli takie szczegółowe ułożenie się o warunki pojedynku nie poprzedziło walki, lecz takowa odbywa się natychmiast po wyzwaniu, tj. strony przystępują do pojedynku natychmiast po powziętem postanowieniu pojedynkowania się, natenczas mówimy o pojedynku nagłym (rencontre). Pojedynek taki co do istoty, a więc i karogodności swej równa się pojedynkowi zwyczajnemu, albowiem polega również na obopólnej umowie, a zatem też na równi z pojedynkiem zwyczajnym będzie ocenionym. Jeżeli jednak ktoś *napada* drugiego wzywając go do bronienia się, natenczas nie ma już właściwego pojedynku, lecz zachodzi napaść (attaque); jeśli napadnięty się tylko broni, natenczas działa w obronie koniecznej, a nie ma mowy o pojedynku; jeśli zaś przyjmuje wyzwanie, napaść przemienia się w pojedynek nagły, w którym jednakowoż napadnięty jest o wiele mniej karygodnym od napastnika, a według niektórych kodeksów nawet wcale karze nie ulega.

Pojedynek polega, jak powiedzieliśmy, na walce stoczonej bronią zabójczą, jeżeli zatem pojedynek stoczony będzie inną, nie zabójczą bronią, nie podpadnie pod pojęcie właściwego kryminalnego pojedynku. Tem to właśnie od pojedynków zwyczajnych różnią się pojedynki studenckie, (mowa tu oczywiście tylko o pojedynkach studentów *niemieckich*, u nas nie znanych i nie praktykowanych); mają one jeszcze to do siebie, że stoczone bywają nie dla pomszczenia obrazy, lecz zazwyczaj jedynie dla ćwiczenia lub z powodu pewnych zwyczajów związków studenckich (t. zw. Burschenschaften), z którymi pozostają w związku. Są one zatem tylko igrzyskami dla zdrowia niebezpiecznemi, „gesundheitsgefährliche Kampfspiele,“ jak słusznie nazywa je któryś autor, i ulegają tylko skarceniu dyscyplinarnemu sądów uniwersyteckich w Niemczech. Rozumie się jednak, że jeżeli studenci stoczą pojedynek bronią zabójczą, takowy nie będzie już pojedynkiem studenckim w technicznem znaczeniu tego słowa, lecz podpadnie pod pojęcie pojedynku zwyczajnego. Od pojedynku zwyczajnego odróżnić jeszcze należy: pojedynek wojskowy mający pewne właściwości i ulegający ocenieniu wojskowych sądów honorowych, tudzież pojedynek kwalifikowany czyli ciężki, zachodzący wtedy, jeżeli pojedynek stoczono z pominięciem przyjętych reguł, mianowicie bez sekundantów. Jeżeli jednak która z stron pojedynkujących się przekroczy rozmyślnie prawidła w pojedynku przyjęte i sprowadzi przez to śmierć lub ciężkie uszkodzenie cielesne strony drugiej, natenczas zachodzi tak zwane przekroczenie pojedynku (deloyauté), ulegające karze według ogólnych postanowień o morderstwie, zabójstwie itd.

Do pojedynków wreszcie zaliczają t. zw. pojedynek amerykański, przezwany także grą o życie; polega on bowiem na tem, że z góry oznaczony przypadek, zazwyczaj losowanie rozstrzyga o tem, która ze stron ma sobie sama życie odebrać. Formy pojedynku tego są najrozmaitsze; trudno jest przytoczyć je wszystkie, odbywa się zazwyczaj w ten sposób, że pojedynkujący się (sit venia verbo) wybierają między białą a czarną kulą, między pistoletem ładowanym i niełądowanym itp. Co do pojmowania pojedynku amerykańskiego pod względem kryminalno-prawnym zdania dotąd są poróżnione; jedni uważają go za pojedynek z prawami i względami pojedynku zwyczajnego; inni odmawiają mu cechy zwyczajnego pojedynku honorowego pojmując go, to jako zbrodnię bezprawnego przymusu, to jako karygodny udział w samobójstwie mający być oceniony według postanowień o zabójstwie, to znów jak szczególne przestępstwo — gry o życie. Tak też pojmował go projekt austryackiej ustawy karnej z r. 1867, który nazwał go „Losung um das Leben“ i karał na równi z zabójstwem. Obecny projekt ustawy karnej austryackiej wspomina o pojedynku amerykańskim w rozdziale o pojedynku zwyczajnym, lecz karze go o wiele surowiej, stanowi mianowicie co następuje:

Jeżeli dwie osoby porozumiały się w ten sposób, że z góry oznaczony przypadek ma rozstrzygnąć o tem, która z nich ma sobie życie odebrać, karane będą więzieniem ciężkiem lub zamknięciem od roku do lat 10ciu. Jeżeli jedna ze stron wskutek takiego porozumienia się odebrała sobie życie, kara więzienia ciężkiego lub zamknięcia od lat trzech do 15tu będzie rozciągniętą. Zbrodnia powyższa pozostanie jednak bezkarną, jeżeli umowa wyżej określona przed wykryciem przez władze uznaną będzie przez strony obie za nie wiążącą ich, lub strona, na której korzyść los wypadł, uwolni stronę drugą od mniemanego obowiązku odebrania sobie życia, a wskutek tego wykonanie umowy będzie zaniechanem.

O pojedynku amerykańskim zauważyć należy co następuje: pojedynek amerykański ma tę cechę wspólną z pojedynkiem zwyczajnym, że i on odbywa się na mocy obustronnej umowy i zazwyczaj także celem pomszczenia zniewagi; tem jednak od tamtego się różni, że nie odbywa się jawnie, w otwartej walce, według pewnych prawideł, w obec świadków i sekundantów, którzy prawidłowości pojedynku przestrzegają, lecz w formie tajnej gry, w formie losowania, w którem fałsz i podstęp często współdziałać i główną rolę odegrać mogą, w którem dalej szanse dla stron przeciwnych stają się często nierówne przez to, że człowiek honorowy, jeżeli go nieszczęśliwy los trafi, uważa odebranie sobie życia wskutek nieszczęśliwej gry za konieczne wymaganie honoru, podczas gdy człowiek quoad punctum honoris nie bardzo drażliwy, po prostu umowy nie wykona i ucieczką życie swe ocali. Równość stron pojedynkujących się zatem będąca jedną z głównych cech pojedynku zwyczajnego, staje się przy pojedynku amerykańskim iluzoryczną, i ta to okoliczność czyni pojedynek ten o wiele karygodniejszym, aniżeli pojedynek zwyczajny. Tyle o pojedynku amerykańskim.

(C. d. n.)

UMARŁA!....

Rzecz napisana podczas grania Sonaty Beethovena op. 13. — przez p. H. S.

Przez

J. CHOROŚNICKIEGO.

(*Dokończenie*).

III.

Cztery kare konie w ciężkich chomontach wykładanych bronzem i mosiędzem ciągnęły karetę po murowanej drodze z Mnichowa do Zaklina.

W karecie panowało głębokie milczenie.

Hrabia Zakliński drzemał trochę sparłszy głowę na miękich poduszkach, Anna siedziała równie nieruchomie tak, iż można było ją o toż samo posądzić, gdyby nie jej duże czarne oczy, które błyszczały jakimś dziwnym ogniem.

Nie inaczej było gdy kareta zatrzymała się przed pałacem w Zaklinie.

Hrabia ze zwyczajnym sobie zaokrąglonym ruchem staropolskiej galanteryi wyskoczył z karety i podał ramię swej żonie.

Anna podniosła oczy wstępując na schody werandy swego przyszłego mieszkania...

Przed nią stała garbata postać, bez brwi i bez wąsów — i kłaniała się nisko.

— Mówią ludzie, że dobrą wróżbą jest, jeżeli pierwszą wizytę nie żonaty składa — mówił słodkim głosem hrabia Oruski — spieszyłem więc co sił stało koniom, aby się nie dać ubiec nikomu w złożeniu życzeń.

— A! jakżem ci wdzięczny kochany Alfredzie — wołał Zakliński— żeś się sam raczył fatygować. Jest to dla nas istotna niespodzianka.

Weszli do pokojów.

— Muszę ci się przyznać aniołku — mówił Zakliński do swej żony — że obawiałem się spuścić na mój zapleśniały staroświecki gust w urządzeniu domu i przyjaciel nasz, we wszystkiem był mi pomocnym. — Sam byłbym sobie doprawdy nie dał rady.

Jeżeli więc będziesz zadowolona i wszystko znajdziesz w porządku, jemu jedynie należy się uznanie.

Anna milczała.

— Prawdziwą rozkoszą dla mnie było — mówił hrabia Oruski — słabe siły moje ofiarować na usługi twoje, tem bardziej, że było to dla pani hrabiny.

Przeszli kilka pokojów.

Anna nie zwracała wcale uwagi na swe nowe salony, choć z powodu zapadającego zmroku wszystkie jasno były oświetlone.

— Prowadzę cię anioleczku — ciągnął Zakliński dalej — wprost do twego saloniku, gdyż tam najwygodniej będziesz mogła spocząć po podróży. Staraliśmy się obaj z Alfredkiem, pokój ten ile możności miłym ci uczynić.

— O tak! — potwierdził garbaty hrabia — i drgnęły mu wargi — staraliśmy się na wyścigi odgadnąć gust pani hrabiny, gdyż wiem z dawnych lat, gdym jeszcze był młodym i takie rzeczy umiał pamiętać, że kobiety bywają najgrymaśniejszemi i najkapryśniejszemi, pod względem urządzenia tak zwanego „kącika“, w którym najczęściej przesiadują.

Weszli do niewielkiego saloniku.

Anna dotychczas jeszcze ani słowa nie przemówiła.

Była wciąż bladą, milczącą, a twarz jej była przerażająco spokojna; nawet oczy straciły ów blask, którym zabłysły przy pożegnaniu starego ojca i starego mnichowskiego domu.

Rzuciła się bezwładnie w fotel, który jej mąż podał — i nie wiedziała prawie co ją otacza.

Postawa i milczenie młodej gospodyni nie przyczyniało się do zabawienia gościa; rozmowa urywała się co chwila, a gospodarz widocznie niecierpliwie czekał, kiedy gość zacznie się wybierać do odjazdu — ale pan Oruski nie myślał o tem wcale.

— Co u licha! — mruczał sobie stary szlachcic — chcą się bawić w mruczka, niech się bawią we dwoje, ja tu trzeci im niepotrzebny.

— Kobiety są bardzo kapryśnemi — powtarzał swój koncept hrabia Oruski — pod względem urządzenia pokoju, w którym najczęściej przebywają. — Jakże pani zadowolona jest ze swego pokoju?

— Pod tym względem — odezwała się Anna spokojnie odpowiadając na pytanie wprost do niej skierowane — nie należę do kobiet kapryśnych i obojętnem mi jest urządzenie pokojów.

Milczeli znowu.

Nagle rozległ się turkot kół powozowych, nowy nadjechał gość.

— Przepraszam cię aniołku, wybacz Alfredzie — zawołał gospodarz zrywając się pospiesznie z miejsca — zaraz będę służył, przyjechał. ktoś łaskawy na nas. — Ani myśli o odjeździe... potrzebnie mi przyjechał.

Zostali sami.

Anna milczała patrząc w ziemię.

Hrabia utkwił oczy w jej twarz... Chciał przebić wzrokiem tę bladą postać jakby z kamienia.

Z oczu jego tryskała żądza zdarcia tej maski spokoju, spojrzenia aż na dno serca tej spokojnej kobiety, którą on tak niedawno znał inną, o! zupełnie inną, słabą, wiotką dziecinną... a dziś stał przed kobietą, poważną, majestatyczną, silną własnym bolem, i własnemi siłami zdobytą rezygnacyą.

— Pani hrabina — odezwał się Oruski spokojnym, jakby wystudiowanym głosem — nie zdaje mi się być zupełnie zadowoloną z urządzenia saloniku, a przecież wytężyliśmy wszystkie siły, aby pokój ten urządzić wedle gustu pani hrabiny.

— Dziękuję panu hrabiemu — jest mi obojętnem urządzenie mego pokoju.

—Pomimo to pewnego razu aprobowałaś hrabina pewien plan umeblowania pokoju... starałem się ile możności zastosować do tego... Nie wiem czym zdołał dobrze sobie to zapamiętać. Zapewne najlepiej osądzisz to pani sama, a będziemy mogli naprawić uchybienia.

Anna dopiero teraz rzuciła okiem po pokoju... i drgnęła, serce jej zadrżało, ale twarz pozostała spokojna i nawet śledzące oko jej gościa nie dostrzegło żadnego wrażenia.

Twarz jej była bladą, jeżeli być może jeszcze bledszą, ale spokojną zupełnie brwi tylko ściągnięte rzucały na twarz jakiś cień nadający jej poważny wyraz.

— Zechciej hrabina poświęcić mi chwileczkę swej uwagi — ciągnął dalej hrabia powstając ze swego krzesła i zbliżając się do fotelu, na którym siedziała Anna.

— Podług życzenia pani — mówił — salonik i meble niebieską obite materyą, pokój wyścielony dywanem, by służba się nie stukała. Nad biurkiem portret matki pani hrabiny... na biurku szerokie ramy hebanowe... na fotografię najdroższego męża pani. Dotychczas jeszcze się nie fotografował, ale teraz pewnie postarać się zechce, aby ramy próżne nie stały, lub co gorsza, kto inny miejsca tego nie zajął... Dalej ślubny bukiet róż — mówił dalej z wzrastającem szyderstwem bijącem z każdego słowa — który zaschnie pewnie w swoim czasie, choć dziś jest tylko zwiędnięty... będzie go można wziąć pod klosz, aby się nie uszkodził; klosz jest już przygotowany.

Mała kozetka dla czułej pary małżonków, którzy szarą godziną zawsze w tym pokoju siadywać będą. Na oknach mnóstwo kwiatów kwitnących róż i kameli; na słupie marmurowym kwiat arona... Wszystko tak jak pani hrabina rozkazałaś, wszystko podług planu pana Henryka...

Anna drżała, ale panowała nad sobą, majestatycznym ruchem podniosła się z krzesła, i z oka cisnęła dwa błyski, które na jedną chwilę zmięszały Oruskiego.

— Kto panu pozwolił wymówić to imię?— zapytała.

Na dźwięk głosu ludzkiego hrabia odzyskał przytomność.

— W tym pokoju — ciągnął dalej z wzrastającą ironią wykrzywiając szatańskim uśmiechem, gołowąse usta — siedzieć będzie zawsze para młoda, a pan Mieczysław deklamować będzie wiersze Krasińskiego, n. p.

„Troje nas było w tym gockim kościele...“

— Panie! ja jestem panią w tym domu, i przypominam, że mogłabym z małą odmianą dokończyć wiersz, któryś pan zaczął.

„A mnie się zdaje, że jest nas za wiele“...

—O wiem o tem doskonale, że hrabina jesteś panią w tym domu — przerwał lekkim tonem Oruski zgrzytając zębami — wszakże to jedynie i wyłącznie mojem jest dziełem. Jakże mógłbym zapomnieć o dziele rąk własnych, wszakże własnemi rękami urządzałem ten pokój dla „pani Zaklińskiego pałacu....“ dla samej dumnej pani hrabiny...

— O! wiem doskonale, że hrabina jesteś panią w tym domu, i pamiętam jeszcze lepiej, że nie chciałaś być panią w moim domu. O tak! — dodał zmieniając nagle głos z lekkiego w poważny, przejęty gorzkim bolem — odtrąciłaś rękę i serce moje, choć wiedziałaś dobrze, żem panią kochał, uwielbiał, że byłbym z nieba gwiazd dostał, aby ci je pod nogi rzucić... że tęczami barwnemi uściełiłbym ci drogę żywota, gdybyś życie twoje mnie darowała, tak jak mnie na wieki do siebie przykułaś... aleś ty nie chciała!

— Panie hrabio! — przerwała mu Anna potok słów namiętnych — nie zapominaj pan, że jestem żoną innego człowieka... Zarzut twój iż cię do siebie przykułam, jest niesłusznym. Nigdy żadnego nie dawałam ci przyrzeczenia, żadnych nie robiłam obietnic, ani ruchem, ani słowem nigdy nie dałam ci powodu do sądzenia, iż kiedykolwiek mogę dla pana mieć inne uczucie jak — obojętności. Nie starałam się nigdy obudzić pańskiej miłości, i Bóg mi świadkiem, żem jej nie pragnęła.

— O wiem! — krzyknął znowu namiętnie hrabia — wiem to aż nadto dobrze, kochałem cię właśnie dla tego, żeś pani tak obojętną była. Wiem dobrze, żeś o mnie nie dbała, że kochałaś tylko tamtego człowieka, który mi wydarł ciebie

i szczęście moje... dlaczego? Dlatego, żem ja garbaty, a on prosty, że on piękny a ja brzydki...

— Mylisz się pan...

— O! nie mylę się, nie wiedziałaś pani o tem sama, ale ja wiem, bo ja to czuję. I ja miałem mu dobrowolnie ustąpić.. ? miałem mu dać być szczęśliwym... za co? dlaczego? Miałem sobie dać wydrzeć szczęście, dać się zwyciężyć bez obrony, bez walki... dla czego? za co? dlatego żem ja kaleką?

— Nie kochasz mnie! nie chciałaś być moją żoną, potrafiłbym się z tem zgodzić, i chicho żyć z mojem uczuciem zamknięty w sobie i dla siebie... ale dlaczego kochałaś jego? Dlaczego i za co miał on mnie zwyciężyć, miał on mieć to, czego ja osiągnąć nie mogłem, dla czego ja miałem być dla niego wzgardzonym? Dlaczego on miał być szczęśliwym szczęściem mojem, kiedy ja szczęśliwym być nie mogłem?

O! nie będziesz jego żoną!! przysięgłem owego wieczora gdym was po raz pierwszy razem zobaczył... w chwili gdy oczy twe i usta śmiały się do niego wybierając go do tańca, i gdy on ująwszy twą rękę dumną wyniosłą swą głowę po nad wszystkich podniósł, i patrzył na wszystkich ludzi takiem spojrzeniem, jakby mu się zdawało, że władcą jest połowy świata. Za mały, za słaby byłem, aby z nim do otwartej walki stanąć o ciebie; wiedziałem, żem garbaty i brzydki, poznałem z uśmiechu twego, że walka moja u ciebie już na zawsze przegrana... pomimo to przysiągłem, że ten uśmiech trupem będzie za nim się urodzi... dziecię jego: szczęście dla was... i przysięgi dochowałem...

Pogardzaj mną, jeżeli chcesz, nienawidź mnie jeżeli ci to ulgą będzie... dumnem okiem swojem obróć mnie w perzynę... bom dotrzymał przysięgi.

Ja wydarłem cię jemu, ja mały, garbaty, kaleka, ja, którego on tak zawsze lekceważył, którym prawie pomiatał... o! miał słuszność, bo i ja jego nienawidzę... nienawidzę... nienawidzę!... za to, żeś go kochała, za to, żeś mnie nie kochała, nienawidzę... choćby za ten jego spokój niewzruszony, niepojęty... pod którym potrafi ukryć i schować boleść i szczęście — namiętną miłość i namiętną nienawiść tak, żem czasem sądził, iż on nigdy nic nie czuje.

Mnie, gdyś odtrąciła, krajało się serce z bolu— piers pękała... a on ślimak... gdym ja go omotał siecią... — miasto walczyć, bronić się, szamotać— choćby tyle ile mucha, robaczek słaby się broni— cha! cha! idzie laury bohaterskie zbierać! szuka śmierci w szlachetnej wojnie z Moskalem. On wart ciebie!! Tyś mnie nie kochała, a gdym cię stracił, zdawało mi się, że świat się wali, że piekło się przedemną rozstąpiło, a on?! — i ty za nim rozpaczasz!!

Anna stała blada, majestatyczna, milcząca, bez słowa odpowiedzi.

— Milczysz pani? Nie masz żadnej odpowiedzi na słowa moje? Nie wierzysz może, żem ja to zrobił, co zrobionem jest?

— O wierzę...

— Nie chcesz słyszeć, jak to się stało? nie chcesz wiedzieć jakim prostym był mój plan... jak się doskonale powiódł?

Zaraz to pani opowiem.

— Ja nie chcę słyszeć!

— Tak? doprawdy? nie chcesz pani słyszeć? ale ja chcę opowiedzieć... ja chcę nacieszyć się widokiem boleści twej, dumna pani hrabino, która dotychczas jednej łezki wobec ludzkiego oka nie spuściłaś; ja przecie chcę dopatrzeć się tych łez, bo to łzy moje...; boleść twa... to mój ból, ja się chcę nań patrzeć i nim nacieszyć.

Z ohydnym wyrazem twarzy, oczyma bazyliszka uśmiechem krzywiąc usta, usiadł na przeciw Anny i ciągnął dalej pożerając ją wzrokiem, jakby się lękał, aby nie uszedł jego oka żaden boleśnie drgający nerw jej twarzy.

— Pamiętasz pani ów ostatni wieczór, gdy on był w Mnichowie... gdyście układali ów plan umeblowania pomieszkania i życia swego... była to godzina śmierci miłości i szczęścia waszego.

Odjechał... popędził czwałem na swym czarnym koniu, aby nie wrócić nigdy — nigdy więcej...

I ja we dworze moim miałem takiego czarnego Kinga i takiego słusznego człowieka z taką czarną brodą, w takiej czarnej czapce... W nocy wszystko czarne, bardzo czarne, nawet przy blasku księżyca. A sługa mój miał w lesie waszym chatkę, kochankę leśniczą — chachachacha... prawda plan prosty, bardzo prosty.

Jechał twój ojciec i ja... i na czarnym koniu jechał słuszny jeździec przed nami.

Koń iskry krzesał kopytami... jeździec cygaro palił... wiatr iskrami z niego sypał...

Na progu czekała nań piękna leśniczyna... koń znał dobrze drogę, przed domkiem stanął:

— Henryku mój!

— Słyszałeś, widziałeś? — zapytałem.

— Słyszałem, widziałem — wracajmy — odrzekł teść hrabiego Zaklińskiego — i — historya skończona.

Nie! nieskończona, czy zdaje ci się, że prawdą jest, iż padł przeszyty moskiewską kulą, stratowany kopytami kozackich koni. Broń Boże!— Zdrów jest i żywy dekorowany orderami za to, że szukał śmierci, której nie znalazł — ale teraz już przepadło! i to mi się powiodło. Pani jesteś żoną tego poczciwca na zawsze — na wieki... a on także sam nie wie jak go w to złote zaprzągłem jarzmo — ja przyjaciel jego i twego ojca...

— Boże mój... czemuż tu nie ma ojca mego...

— Jestem, biedne dziecko moje — zawołał z rozpaczą stary szlachcic, wysuwając się z za portiery wraz z mężem Anny... . . .

. . . .

Na wysokim katafalku stała bogata trumna nasypana rzęsiście kwiatami, ubrana girlandami z róż, oświecona światła powodzią.

U stóp katafalku stał młody człowiek w czarne odziany szaty o bladej boleścią skurczonej twarzy, z długą czarną brodą; usta mu drgały, lecz nie szeptem odmawianych pacierzy. — Sercem targała boleść gwałtowna, lecz oko łzy żadnej nie śpuściło.

Głowa opadła mu na piersi, w ustach zaciętych malował się wyraz najwyższej rozpaczy.

Drugi dzień już przepędził tak u stóp trumny, kryjącej w swych czarnych ramionach ukochaną istotą.

Z ust jego nie słyszał nikt słowa żadnego— z piersi żadne nie dobyło się westchnienie; raz tylko jeden szepnął:

— Umarła! umarła!!...

Lud ciekawy z uszanowaniem dla jego bolu, zdaleka patrzył na ten posąg boleści i cichym szeptem podawał sobie z ust do ust:

— Bogaty pan... ze Złotej Góry... dobry był pan... Panna poszła za hrabiego,... ot i grafiną nawet miesiąca nie była. Mogli być szczęśliwi... zły człowiek stanął między niemi.

Z drugiej strony katafalku stał ojciec siwy, zgarbiony swą boleścią złamany i powtarzał staremi ustami:

Umarła... umarła!!

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO

z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Dokończenie*).

Że tyły mają zabrane, Moskale się spostrzegli, gdy już do samej Rogoźnicy dochodzili, (las, pod zasłoną którego nasi do Rogoźnicy dotarli, ciągnie się klinem prawie do samej grobli), i tak już byli blisko naszych, że się do Międzyrzecza cofnąć nie mogli. Artylerya tylko odwróciła konie i w największym cwale uciekła; ułani sformowali się w szwadrony, a piechota: dwa bataliony wpadły na smętarz i ogród i tam się sformowały; a jeden batalion zamknął się w trzech wyżej wspomnianych stodołach. Szaserzy pierwsi zrobili poruszenie by na ułanów uderzyć; ułani nie tędzy byli na duchu, aczkolwiek było ich więcej i uzbrojeni w lance, co zawsze u kawaleryi jest bronią górującą, ale czuli tył zajęty; szaserowie nasi czuli znów liczebną przewagę ułanów; trzy razy tedy przyskakiwały szwadrony do siebie, a nie przyprowadziwszy do starcia zatrzymały się i odwracały, aż za trzecim razem szaserzy wznieśli karabinki i w bliskiej odległości między ułanów dali ognia, tym strzałem zmięszali ich i napędzili na błota, gdzie cały ten piękny pułk zginął. Tymczasem 5ty pułk ruszył na bagnety przeciw tym co się za wały schronili, a 1szy pułk na stodoły, ci w stodołach, tamci po piersi zakryci wałami, doskonałą mieli pozycyą; zaczęli oni przeciw 5mu pułkowi rotowym ogniem, a gdy ten nie wstrzymał naszych, pułkownik Moskali, dzielny żołnierz i tęgi fechmistrz na bagnety, wyrywa karabin żołnierzowi, wyskakuje naprzód i wywijając bronią, wyzywa do pojedynku, Moskale zaprzestają strzelać, nasi się zatrzymują. (Walny to był pułk, o poddaniu się ani mówić chciał). Z naszej strony wybiega jakiś voltiger, rozumie się, że także fechmistrz, okazuje że przyjmuje wyzwanie i zbliża się do' pułkownika, tu wobec przypatrujących się dwóch stron nieprzyjacielskich rozpoczyna się pojedynek dwóch walecznych i zręcznych szermierzy, kończący się tem, że nasz voltiger przebija i trupem kładzie pułkownika, wszystko trwało króciótką chwilkę czasu, po czem 5ty pułk wpadł na wały, zdobył je, a że Moskale pardonu przyjąć nie chcieli, więc ich prawie wszystkich w pień wykłuto. Batalion w stodołach zamknięty także się poddać nie chciał i ciągle szparami ścian na 1szy pułk ognia dawał, aż nareszcie jeden nasz żołnierz z 1. pułku podsunął się pod stodołę, stanął za węgłem, iżby go razić nie można i parlamentował z nimi o poddanie się, a gdy przy odmownej odpowiedzi obstawali, zapalił stodołę. Co tam bagnet, to tutaj dym i ogień dokonał, zginął pułk, o którym sprawiedliwość uznać każe że był dzielnym, kiedy dał się wykłuć i spalić, a broni nie złożył. Był to z całej kampanii masakr najokropniejszy. Wzięto z niedobitków nieco w niewolę, a w ich liczbie gen. Werpachowskie-

go, który przed rewolucyą stojąc lat kilka w Warszawie, między naszymi owej komendy oficerami znalazł wielu znajomych i kolegów zielonego stolika.

Gdyby był gen. Ramorino dał rozkaz gen. Bilińskiemu, z Rogoźnicy w ten moment pomaszerować na Brześć, byłaby ta część naszego korpusu, o cztery co najmniej godzin uprzedziła nadejście tamże Moskali.

W czasie rozprawy pod Rogoźnicą, Ramorino naciskał Gołowina w Międzyrzeczu, lecz wyparować go z obronnej pozycyi przed nocą nie można było, a jak tylko noc walkę zastanowiła wybrał on się z Międzyrzecza bocznym do Brześcia gościńcem, naprawiwszy na łeb na szyję, popsute przez siebie mosty.

Międzyrzecka bitwa dowodzi, że nasz żołnierz wtedy jeszcze zdemoralizowanym wcale nie był i że nim można jeszcze było bić Moskala, byle komenda była umiejętna i patryotyczna. Z naszego batalionu od kul armatnich zginęło 14 ludzi, a porządek ani na chwilę nie był zachwiany, choć ukośny zygzakowaty marsz podsuwający kolumny pod zakrytego nieprzyjaciela, utrzymanie porządku trudniejszem czyni. Tu zyskała sławę legia Nadwiślańska pierwszy raz w boju użyta. Stała ona w asekuracyi dział, a zadanie to wzorowo wypełniła, choć kilkunastu ludzi od pocisków działowych straciła.

Z Międzyrzecza batalion nasz wraz ze swą dywizyą poszedł pod Brześć Litewski, do którego Gołowin się schronił. Od wyjścia z Warszawy zaprzestano dowozić żywność z magazynów, żywiono nas kartoflami i mięsem z bydła i owiec, za które komisarze rządowi przy korpusie się znajdujący, bonami skarbowymi płacili. Niedostatku wcale nie było, ale dokuczał zupełny brak chleba. Wódkę w dostatecznej ilości dowoziły markietanki, pieczywa bardzo mało. I tak było aż do wejścia do Galicyi. Żołd dochodził nas regularnie, ale w banknotach mających już słaby kurs. Pod Brześciem staliśmy dni parę, a potem zaczęło się powolne ciągnienie w stronę, z której przyszliśmy. Ciągnienie odbywało się tak żółwim krokiem, iż czasami zaledwo pół mili drogi na dzień robiliśmy. A tu z Warszawy niepokojące wieści, a tu żołnierz rwie się bronić Warszawy, a tu komenda brawując ducha i życzenia wojska dyscypliną je hamuje. Gdyśmy się o kilka mil od Brześcia oddalili, nadjechał do naszej brygady pocztowym wózkiem — kto? Pułkownik Galois w swej własnej osobie. Opowiedział, iż udało mu się z niewoli umknąć i że przyjeżdża swą komendę objąć, lecz pułkownicy Dąbrowski i Jastrzębski oświadczyli, iż pod nim służyć nie będą, więc odjechał z kwitkiem.

Gdyśmy już Siedlce minęli, przyszła smutna wiadomość o upadku Warszawy. Wiadomość ta aczkolwiek nader przykre na wojsku wywarła wrażenie, jednakże nie przestał wiać duch wiary, iż klęska ta, niepowodzenie to da się innymi sukcesami nagrodzić. Wojsko brało tu w rachunek i siły moralne i siły liczebne; i nie przypuszczało, iżby ta klęska wiodła do ostatecznego upadku wojny naszej. Podówczas, łącznie z garnizonami, liczyła armia nasza około 100,000.

Odtąd zaczęły się marsze forsowniejsze. Z Siedlec na lewo przez Białą, Łuków, przeprawa przez Wieprz pod Syrokomlą, dalej powyżej Lublina przez Kurów podsuwając się ku brzegom Wisły, stanęliśmy w Opolu. Dotąd na tyłach naszych nie widzieliśmy Moskalów, dopiero pod Opolem nas zaatakowali. Batalion nasz liczył 700 ludzi dnia tego. Przeznaczeni byliśmy do zasłaniania naszej dywizyi jako aryergarda. Gdyśmy odstrzeliwając się tyralierami, a w kolumnach półbatalionowych gotowi do odparcia napadu kawaleryi wolno postępowali, omal że nas nie ubiegli Moskale przy zbiegu naszego traktu w lesie z drugim traktem, którym ustępowała dywizya 5ta zasłoniona w aryergardzie 17tym pułkiem. Lecz 17ty pułk w tem miejscu się zatrzymał aż do naszego nadejścia, chociaż piechota moskiewska silnie go parła. Miło było patrzeć jak ten młody żołnierz, porządnie w batalionie utrzymywał długi rotowy ogień, nie zostawało nic do życzenia, równał on się szybkością i porządkiem strzałów każdemu ze starych pułków.

Od miejsca złączenia się traktów, już sam batalion nasz zasłaniał tyły korpusu. Zjawił się gen. Sierawski i rzekł do Jabłonowskiego majora naszego: „Batalion twój zasłaniać ma cały korpus, dobrze żeś batalion na dwie półbatalionowe kolumny podzielił, możesz jak ci się podoba w prawo i lewo manewrować, byleś jak najdłużej Moskali zatrzymał, bo na tem zależy bezpieczeństwo i przeprawa korpusu przez groble i mosty jakie się poniżej znajdują“. I odjechał gen. Sierawski, a batalion korzystając z każdej zasłony, z każdego punktu oparcia się, ostatni wchodził do Józefowa, ostatni do Ruchowa, gdzie nas noc zaskoczyła. Jeszcze tu byliśmy pewni, że będziemy się przeprawiać przez Wisłę, na którą patrzyliśmy się i że się tam połączymy z innymi korpusami dla prowadzenia dalszej wojny.

Ranek następny zwiastował nadejście dnia 15. września 1831 r. Zamiast przygotowań do przeprawy przez Wisłę, a widać było na drugim brzegu Sandomierz, dalsze posuwanie się po nad Wisłą ku granicy austryackiej, to jest Galicyi, miejscowość „Chwałowice“. Tu okolica mniej leśna, otwierała pole piaszczyste, z razu pagórkowate i porosłe gdzieniegdzie drzewem szpilkowem, dalej bezwzględna równina. Tu już począwszy od Rachowa, korpus postępował kolumnami, tu już aryergardę trzymała brygada nasza, a dowodził aryergardą pułk. Jastrzębski mając sobie dodanych pluton dział i kilku szwadronów konnicy, a między niemi szwadron 2. ułanów kapitana Kajzera, którym tego dnia dowodził por. Eustachy Radwański. Dla tego szwadron ten wymieniam, albowiem przepołowionym on został w naszych oczach, bowiem gdy pod lasem wykonywał szarżę na kozaków i za nimi za daleko się zapędził, z tyłu wypadła z lasu ćma konnicy nieprzyjacielskiej i połowa szwadronu do niewoli się dostała.

Odtąd rozpoczął się silny ogień działowy. Korpus nasz wyszedł i ustawił się na równinie u podnóża wzgórz się rozciągającej, jak to wyżej opowiedziano, oparty lewem skrzydłem o Wisłę, plecami o graniczne słupy austryackie, a za niemi kilkadziesiąt tysięczny gen Bartaletego austryacki korpus, z którego na oko widzieliśmy obserwujący nas szwadron pułku Orelli Chvauxlegerów.

Kolumny korpusu naszego na równinie jak na dłoni rozstawione, Moskale zaś kolumny swoje ukryli na wzgórzach i laskach, dopiero co przez nas opuszczonych i tamże zatoczyli wszystkie swoje działa i rozpoczęli gorący ogień. Wiele dział mieli, trudno wiedzieć; nasi wytoczyli wszystkie 40 dział i nuż gorączkowo odpowiadać, jakby dla wystrzelania wszystkich ładunków. Tym sposobem wywiązała się kanonada tak silna, tak gęsta, tak głusząca, iż przechodziła kanonadę Ostrołęcką.

Czy nasze pociski wyrządzały szkodę Moskalom, nie można było wiedzieć, bo oni byli zakryci, kule moskiewskie nas bardzo mało raziły, w naszym batalionie był tylko lekko ranny dobosz jeden czerepem od granatu.

Nad wieczorem kanonada ustała. Że konie nasze były głodne, a między obu wojskami stały od Wisły stogi z sianem, więc między naszą a moskiewską komendą stanęło porozumienie, iż tak nasi, jak i Moskale wspólnie brać będą siano z tych stogów nie przeszkadzając sobie i nie zaczepiając się. Poszła nasza konnica po siano, ale zaledwie żołnierze z koni zsiedli, zanim do stogów przystąpili, zasadzony moskiewski batalion dał do nich ognia. Konie spłoszone bez jeźdźców wracały rozbiegnione, a żołnierze za nimi pieszo. Widok to był przerażający. Wiele z tych koni wcale nie połapano. Tu galopem nadbiegł kochany nasz gen. Sierawski, porwał nasz batalion naprzód, a stojące obok nas działa dały w miejsce zasadzki ognia. Lecz gdy Moskale zachowali się spokojnie, działa ucichły, a batalion nasz wrócił na swą pozycyą. W kilka godzin potem już byliśmy w Galicyi otoczeni austryackiem wojskiem. Gdyśmy się drugiego dnia w batalionie obrachowali, znaleźliśmy się w liczbie 300 ludzi. Pułk nasz przy wyjściu w pole liczył 2700 ludzi; w ciągu kompanii dodano najmniej 1500 ludzi, a więc z 4200 ludzi, tylko 300 do Galicyi weszło, to piękne świadectwo pułku, który nigdzie nie ustąpił. Drugiego czy trzeciego dnia po wejściu nastąpiło oddzielenie oficerów od żołnierzy i rozbrojenie całego korpusu, i tu się kończy historya 3go pułku piech. lin. wojska polskiego z r. 1831, albowiem po rozbrojeniu stracił chwilowo swą indywidualność a żołnierze ulegli wspólnemu losowi. Lecz 3ci pułk nie zginął, bo żyje myśl jego, tchnienie przeszłości podane przyszłości, w danym razie odtworzy pułk 3ci a będzie on dalszym ciągiem sławy 3go pułku z r. 1831.

Nie mogę sobie odmówić opisania w smutnej katastrofie dnia ostatniego, komicznego wydarzenia: O kilkaset kroków za naszemi plecami po za donioślością kul działowych, stał na obserwacyi już po za słupami granicznymi szwadron austryackich Chvauxlegerów z pułku Orelli. Żołnierz austryacki to nowość, zwracaliśmy nań oczy i mówiliśmy, „jakby to oni stali, gdyby ich tu między nami pod niebezpieczeństwem kul postawić?“ W tem granat jakiś z donioślejszego działa, czy na figla na wyższą elewacyą z moskiewskiej armaty puszczony, wysoko lecąc przenosi nasze kolumny, my za nim oczy zwracamy, i widzimy jak pada o jakie 150 kroków przed frontem Chvauxlegerów i pęka; a szwadron? pękł także, bo jak ukropem zlany zmięszał się, zwinął w kłębek a potem rozleciał się na prawo i lewo i w najkompletniejszem rozbiciu z ócz nam zniknął. Po wejściu naszem do Galicyi, tak wiara nasza nagannym postępkiem tym chvauxlegerom dokuczała, iż musiano ich gdzieś dalej wyprawić, iżby ich nasi nie widywali. Nie potrzebowali się oni narażać, to prawda, ale by niebezpieczeństwa uniknąć, żołnierz regularny nie łamiąc porządku za komendą dowódzcy odwraca front i odsuwa się, lecz tak bezładnie się zmięszać i to wobec dwóch walczących wojsk, to więcej jak śmieszne, to sromota takiemu żołnierzowi, ale my naśmialiśmy się z nich do woli.

Koniec.

Po Boga.

Ukryty w pośród chmur,
Tej ziemi wielki Boże!
Z przepaści — lądów — gór,
Wielbiony w każdym tworze.
Spokojny sam, jedynie,
Wśród gromu strasznych burz:
Wysłuchaj głos co płynie,
Z targanych bolem dusz!

Patrz, jako imię Twe,
Tarza się w poniewierce;
Jak coraz silniej złe
Wgryza się jadem w serce;
Jak ci, pod których strażą
Płonie Twej prawdy znicz:
Twe święte prawa każą,
Z Twych gromów robią bicz!

Ludzkość z Twych zbacza dróg...
Zsuwa się do otchłani!
A święte imię B ó g
Dziś innem hasłem dla niej...
Tyrani wciąż ją wstecz
Cofają podłą zdradą!
Dłonie jej zbroją w miecz,
Bluźnierstwo w usta kładą.

Rolnik, od swoich niw,
Wyrwany w imię Twoje:
Porzuca plony żniw,
Na krwawe zdąża boje...
I z strasznem piętnem kata,
Jak barbarzyńca, wróg:
Uderza w piersi brata,
Z tem świętem hasłem B ó g!

O! Panie! czyż Twój gniew
Bezbrzeżny — trwa bez końca?
Czyż nigdy już przez krew
Ludzkość nie ujrzy słońca?
Czyż wiecznie ma Twe imię
Fałsz i obłudę kryć;
I wiecznie w krwawym dymie,
Hasłem zniszczenia grzmieć!

O nie! — Niech ludów znój
W tyranów godzi głowy!
Niech będzie piorun Twój,
Uderzyć w nich gotowy!
Klątwa tym, co na noże
Śmią lud w Twe imię wieść!
Niech Twój majestat, Boże,
Odzyska dawną cześć!

Władysław Bełza.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy.)

Noc zapadła; parę godzin zatrzymano się przy wyspie Chio. Dla mglistej, bardzo ciemnej nocy a niepewnej żeglugi wśród sterczących wysepek, statek nasz dłuższy czas zatrzymał się w Mitilinie. Zimno poczęło dokuczać, więc uciekłam z pokładu, czego wybaczyć sobie nie mogę, gdyż ani Gallipoli, miejsca dawnej Troi, ani zamków w Dardanelach i morza Marmara, które obojętnie pominęłam, nie widziałam; dopiero dziś o 8mej z rana, otoczeni pluskającymi się delfinami, pomimo bardzo mroźnej atmosfery, nie opuściliśmy już pokładu do chwili wylądowania w Złotym Rogu. Stanęłam pod Konstantynopolem.

Od czasów kiedy Konstantyn widząc znak na niebie „In hoc signo vinces“, tu na przekor starej Romie nową stolicę założył, aż do dzisiejszej chwili, w której niedołężni sułtani panują iluż to panów, wojowników i zdobywców, widział ten przecudny kąt ziemi! Macedończycy, Persy, Awarowie, Araby, Kozacy, Frankowie, Turcy i Rosyanie ubiegali się krwawo o ten klejnot wschodu...

Ze zwykłem hałaśliwem życiem, panującem w Oryencie, powitali nas i tu wioślarze prosto zdążając z nami w łodziach na Duanę czyli Komorę. Opasły, zaspały, żadnym europejskim językiem nie mówiący Turek, wziął się do rewizyi naszych kuferków, gdzie znalazłszy kilkadziesiąt cygar, chciał takowe konfiskować, by je niby oddać, gdy będziemy z Konstantynopola wyjeżdżać; żądaliśmy dla pewności kartki, na co Turek w żaden sposób przystać nie chciał, lecz po chwilowym targu za parę piastrów, zwrócił cygara pozostawiwszy kilka dla siebie! Więc rewizya była tylko czczą ceremonią dla wyłudzenia jakiegokolwiek bakczisu.

Odnoga zwana Złotym Rogiem dzieli Carogród na dwie części, połączone kilkoma mostami; Stambuł, stary gród, li tylko przez wyznawców Koranu zamieszkały, nie posiada żadnych hotelów, odpowiednich wygodom Europejczyków, i tylko na przedmieściu Pera, po przeciwnej stronie wzgórza położonem znaleść można przyzwoite pomieszczenie.

Nie wiedząc na razie, że dla uniknienia fatygi, zbudowano od lat kilku linwową kolej w tunelu góry prowadzącej na Perę, postępowaliśmy znużeni za naszym przewodnikiem, po niezliczonych wschodach wiodących do hotelu d'Angleterre, w którym znaleźliśmy schronienie.

Pierwszem naszem zajęciem było odszukanie listów z Cairo, które tu na nas miały oczekiwać. W Turcyi poczty są tak niedbale urządzone, że każdy rząd zmuszony jest utrzymywać własny oddział pocztowy. Ponieważ do Cairo nadeszły listy nasze Lloydem, sądziliśmy więc że ta sama poczta posyła je dalej; jednak poszukiwania nasze były nadaremne; nareszcie odszukaliśmy je na poczcie Kediva czyli egipskiej. Pan M., rodak, którego poznaliśmy w czasie naszego pobytu w Konstantynopolu, opowiadał, że Tatar wiozący pocztę turecką, często gdy mu w drodze zimno dokuczy, rozkłada sobie ognisko z listów mu powierzonych!... Wnętrze miasta Stambułu wcale nie odpowiada wspaniałemu wrażeniu całości; w ścisku domostw gubią się moszee, a starożytne pomniki, dopiero przy zbliżeniu zwracają uwagę na siebie; ulice niebrukowane i wązkie, tak dalece, że przez niektóre zaledwie wóz przesunąć się może; zdaje się co chwila, że nadjeżdżający wysoki tramway zabierze ze sobą balkoniki wiszące przy niskich drewnianych domkach. Obdartus, pełniąc służbę konduktora, krzykiem ustnym i trąbą zawiadamia przechodniów o zbliżeniu się wozu tramwaiowego, gdyż inaczej, gdyby tłum napotkał, musiałby się jak niepyszny cofnąć i na nowo kurs rozpocząć.

Milion ludności przebiega mnogie przedmieścia i dzielnice, nadewszystko most główny jest obrazem nieskończenie poruszającego się mrowiska; wszystko od świtu spieszy do Stambułu, lub odwrotnie dzień cały wśród wrzawy i potrącań załatwiając interesa; obok zaś na wodzie świst maszyn statkowych, przewożących publiczność z brzegu na brzeg, wzdłuż Bosforu i Złotego Rogu aż do Ejub, czyni ten zgiełk niepodobnym do wytrzymania.

Do tej ostatniej miejscowości, nazwanej inaczej Słodkie wody, co piątku Turczynki z dziatwą przybywają dla odetchnięcia świeżem powietrzem, rozkładając się obozem na zielonych pagórkach.

Wogóle w tym kraju nadzwyczajną cześć i pamięć oddają umarłym, smentarze starannie, nawet z pretensyą, urządzone, dowolność nieograniczona w pochowaniu umarłych, często wśród miasta, nawet czasem pod progami domów i w ogrodach znachodzimy nagrobki; w Ejub właśnie zwiedziwszy dokładniej rozległy tamtejszy smentarz, napotkaliśmy nagrobki przypominające duże klatki ogrodowe, siatką złotą powleczone w rozmaite kopułki i minareciki upstrzone. Przewodnik zachęcał nas do zwiedzenia tutejszego meczetu, podwójnie dla Mahometan uświęconego, raz że mieści w swem wnętrzu grób Ejuba, jakoby chorążego proroka Mahometa, po drugie jest to moszea, w której przypasują miecz czyli koronują każdego sułtana. Z przerażeniem i krzykiem spostrzeżono nas zbliżających się ku drzwiom meczetu, lecz przewodnikowi coś więcej się dostało od zapaleńców Koranowych za tak śmiałą propozycyą, albowiem wchód do niej pod żadnym warunkiem giaurom nie jest pozwolony.

Stambuł posiada tylko jedyny najobszerniejszy plac zwany Hippodram, rozległość do 300 kroków; dawniej do zabaw i gier publicznych służący, ozdobiony jest on dziś jeszcze dwoma obeliskami, z których jeden z granitu, pełen hieroglifów silnie w całości stoji, drugi znacznie wiekiem nadwerężony i pochylony, Turcy wierzą w przepowiednię przywiązaną do owego słupa, że w miarę rozsuwających się kamieni, i państwo mahometańskie upadać będzie i gdy prawem starości, kamień czasem z niego wyleci, przekonani są, że jedna z wiosek mahometańskich pożarem lub innym wypadkiem w gruzy się obróciła. Spotyka się jeszcze jedną kolumnę ale w ziemi, wolno stojącą, odkopaną w obszernym załamie; słup ten stanowią trzy z brązu ulane węże, po nad powierzchnię rozwarte ich paszcze, formują trójnóżek, który miał służyć za piedestał do tronu Pitti w Delphach.

Niezmiernie zachęcają Turcy do zwiedzania znajdującego się w pobliżu Hippodramu muzeum broni i kostiumów tureckich; naśladując Europę, zgromadzili tu kilkuwiekowe oryginalne ubiory znakomitszych swoich ludzi, między którymi Janiczary główną rolę odgrywają; w kilku kurytarzach ustawiono szeregiem, naturalnej wielkości figury woskowe, przyobleczono je w szaty starożytne, które, tak jak i fizyognomie, poczerniałe i przypylone, dzikie, nawet straszne pozostawiają wrażenie. A ileż tu prześlicznych moszey poświęconych sułtanom i sułtankom validom (matkom panujących). Do Hippodramu przylega meczet Achmeda, jak słyszałam w całem państwie Islamskiem, on tylko jeden posiada sześć minaretów.

Cóż powiedzieć o wielce wspaniałej świątyni Zofii, staraniem Konstantyna W. rozpoczętej, która wśród rozmaitych niesnasek religijnych i narodowych, dopiero aż pod Justynianem ozdobiła się nieporównanym blaskiem i przepychem. Ze wszystkich pogańskich świątyń, jak z świątyni Dyany z Ephesus, Apolla z Delos, z Athen, Egiptu i Balbeku i td. sprowadzono i użyto olbrzymich kolumn z najróżnobarwniej żyłkowanych marmurów, do dźwigania śmiałych łuków i kopuł kościoła! Gdy dokończono owe dzieło, średnia kopuła, wskutek padającego na ziemię rusztowania, tak się zatrzęsła, że mury popękały. Wytrwale, ponownie wzięto się do budowy, i aby ujść podo-

bnego wypadku, napełniano kościół na kilka metrów wodą i na takową rusztowanie lekko spuszczono.

Rozmaite robiono trudności, zanim straż Koranowa dała się ubłagać i za opłatą 10 frank. od osoby, dozwoliła nam wejść do świątyni, lecz trafiliśmy właśnie na chwilę nabożeństwa, skutkiem czego wprowadzono nas kurytarzem, którym dawniej kobiety tylko na galeryą „Babińcem“ zwaną, wchodzić mogły. Skorzystaliśmy poniekąd z tego, rzuciwszy z góry okiem na całość wnętrza. Od pierwszego wejrzenia natychmiast się spostrzega pierwotne przeznaczenie świątyni, że ona na cześć Boga chrześciańskiego była zbudowaną. Jak wiadomo, mahometanie modląc się, ku stronie Mekki zwracają oblicza, a że kierunek tego zwrotu wypadł w ukośnem położeniu naszego wielkiego ołtarza, uderza więc jego opróżnione sklepienie, a wschody, po których świat chrześciański stąpał ku ołtarzowi, Turcy przenieśli w stronę głównej swej framugi. Niesymetrya owa przypomina własność, przemocą wydartą, gdzieniegdzie widać dotąd krzyże źle pozacierane.

Mozaika z cennych kamyczków kolorowych i szkła pozłacanego zdobi sufity; kwadraciki wypadające stanowią zarobek dla obdartych i bezczynnych indywiduów, włóczących się i sprzedających te kawałeczki zwiedzającym, którzy naturalnie chętnie takie pamiątki nabywają.

Śmiesznie wyglądają Turcy przybywający z poduszkami i materacami do moszey, siadają na tem miękkiem posłaniu i pokłony biją; sułtan ma dla siebie misternie rzeźbioną lożę, zupełnie zamkniętą, w której jak mówiono, kilkugodzinne nabożeństwo często smacznie sobie przedrzymie...

Co jednak mocno szpeci główną nawę świątyni, to duże czarne tarcze z cyframi panujących sułtanów porozwieszane w około i przypominające marność ziemskich dostojeństw i zaszczytów, zdaje się, że innej myśli w nich nie ma.

(C. d. n.)

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Ciąg dalszy).

III.

Powrót do zdrowia trwał długo. W sierpniu Joanna była jeszcze w łóżku. Wstawała na godzinę lub dwie, pod wieczór szła do okna, co wszystko ogromnie ją męczyło; tam kładła się w fotelu, naprzeciw Paryża palącego się pod zachodzącem słońcem. Biedne jej nogi odmawiały posłuszeństwa; nie miała, jak mówiła słabo uśmiechając się, ani tyle krwi co ptaszek, trzeba zaczekać aż będzie mogła jeść dużo zupy. Dawano jej surowe mięso w bulionie. Polubiła nawet to jedzenie, bo chciałaby już módz zejść do ogrodu dla zabawy.

Tygodnie te i miesiące przeszły monotonnie i przyjemnie tak, że Helena nie rachowała dni. Nie wychodziła wcale, przy Joannie zapominała o całym świecie. Żadna wieść nie dochodziła do niej z tego świata. Mieszkanie jej, wobec tego Paryża, co napełniał horyzont dymem swym i hałasem, było zaciszem więcej samotnem i zamkniętem jak święte pustelnie, otoczone skałami. Dziecię jej było uratowane, pewność ta wystarczała; dzień cały spędzała, śledząc powrotu do zdrowia, uszczęśliwiona, gdy dostrzegła postęp mały, spojrzenie błyszczące, wesoły ruch. Co chwilę odzyskiwała coraz więcej córkę swą; wróciły jej piękne oczy i włosy stawały się miękkie. Zdawało się jej, że po raz drugi daje jej życie. Im powolniejsze było zmartwychwstanie, tem bardziej się niem cieszyła, przypominając sobie dawne dnie, kiedy ją karmiła; widząc ją wracającą do sił, doznawała wzruszenia silniejszego jeszcze niż wówczas, kiedy mierzyła jej dwie małe stopki w dłoniach swoich, chcąc odgadnąć, jak prędko będzie chodziła.

Jednakże niepokoiło ją coś jeszcze niezrozumiałego w dziecku. Kilka razy zauważała, jak Joanna bladła, a wzrok jej stawał się ponury i podejrzliwy. Dla czego mieniła się tak nagle i traciła wesołość. Czy bolało ją co, czy ukrywała przed nią cierpienie jakie?

— Powiedz mi, najdroższa, co ci?... Tylko co śmiałaś się a teraz posmutniałaś. Odpowiedz mi, czy boli cię co?

Ale Joanna gwałtownie odwracała głowę i chowała twarz w poduszki.

— Nic mi nie jest — mówiła krótko. — Proszę cię, zostaw mnie.

Zły humor trwał czasem całe poobiedzia. Z oczami utkwionemi w ścianę zapadała w głęboki smutek, którego matka pojąć nie mogła. Doktor nie wiedział, co myśleć o tem; paroksyzmy te pojawiały się zawsze w czasie jego bytności; przypisywał ją znerwowaniu chorej. Zalecał szczególnie, by się jej nie sprzeciwiano.

Jednego popołudnia Joanna spała. Henryk, który znalazł ją bardzo dobrze, dłużej niż zwykle zabawił, rozmawiając z Heleną, która wróciła do dawnego swego miejsca przy oknie i do pracy z igiełką. Od owej strasznej nocy, w której wyznała mu swą miłość, oboje żyli spokojnie w tem słodkiem uczuciu pewności, że się kochają i nie troszczyli się o jutro i zapominali o świecie. Przy łóżku Joanny, w pokoju tym, gdzie dziecko konało, niewinność broniła ich przeciw zmysłom. Czysty oddech Joanny uspokajał ich. Ale w miarę jak chora sił nabierała, ich miłość stawała się także coraz silniejsza; krew zaczynała w niej krążyć; drżeli jedno obok drugiego, używali chwili obecnej, nie chcąc myśleć o tem, co będzie, kiedy Joanna wstanie i miłość ich wolna i zdrowa powstanie także.

W chwilach takich wystarczało im słów kilka wyrzeczonych od czasu do czasu po cichu, ażeby nie obudzić małej. Słowa to były pospolite, a jednak wzruszyły ich głęboko. Dnia tego oboje bardzo byli rozczuleni.

— Upewniam cię, że ma się daleko lepiej — rzekł doktor.—Za parę tygodni będzie mogła zejść do ogrodu.

Heleny igiełka szybko błyskała.

— Wczoraj—odrzekła cicho — była znowu bardzo smutna... Ale dziś rano śmiała się; obiecała mi być grzeczną.

Nastało długie milczenie. Dziecię spało wciąż; sen jej uspokajająco wpływał na nich. Lżej im było, kiedy tak spoczywała, czuli się swobodniejsi, więcej do siebie należeli.

— Nie widziałaś teraz ogrodu? — rzekł Henryk. — Pełno w nim kwiatów.

— Stokrótki puściły już, nieprawdaż? — spytała.

— Tak, pełno ich... Powoje wspięły się aż na wiązy. Wygląda to jak gniazdo liści.

I znowu zapadło milczenie. Helena przestała szyć i popatrzała na niego z uśmiechem; jedna myśl przyszła im wspólnie: chodzili po cienistych aleach, aleach wymarzonych, a w nich była ciemność i kaskady spadających róż. On pochylił się nad nią i pił lekki zapach werbeny, unoszący się z jej ubrania. W tem szelest bielizny na łóżku zaniepokoił ich.

— Budzi się — rzekła Helena, podnosząc głowę.

Henryk cofnął się. Spojrzał także w stronę łóżka. Joanna ujęła właśnie poduszkę swą w małe rączki i oparłszy o nią podbródek, zwróciła twarz swą wprost ku nim. Powieki miała zamknięte; znowu zdawała się usypiać, oddychając powoli i równo.

— I tak zawsze szyjesz? — spytał, zbliżając się.

— Muszę zajmować czemś ręce — odpowiedziała. — To już mechaniczne u mnie, przytem myśli me lepiej układają się... Godzinami całemi myślę o tem samem, nie męcząc się.

Nie powiedział nic więcej, patrzył na igłę jej, co miarowym ruchem kłuła perkal, i zdawało mu się, że nitka ta unosiła z sobą i wiązała ich egzystencyę. Godzinami całemi ona mogłaby szyć, on stałby przy niej, słuchając co mówi igiełka, a mówi zawsze to samo, nigdy ich nie nużąc. Niczego więcej nie pragnęli, byle mogli żyć tak w tym cichym zakątku, bliziutko jeden drugiego; między nimi dziecię spało, a oni starali się nie ruszać, by nie przerywać jej snu. Rozkoszna to była nieruchomość, milczenie, w którem słyszeli tylko mowę serc swoich, nieograniczona słodycz połączonego uczucia miłości i wieczności!

— Jesteś dobra, jesteś dobra — szepnął doktor po razy kilka, nie mogąc znaleść innych słów na wyrażenie szczęścia, które jej zawdzięczał.

Znowu podniosła głowę; przyjemnem jej było, że się czuła tak gorąco kochaną. Twarz Henryka była przy jej twarzy. Patrzyli na siebie przez chwilę.

— Pozwól mi szyć — rzekła po cichu. — Nigdy nie skończę.

Ale w tej chwili tknięta jakimś instynktowym niepokojem, odwróciła się. I ujrzała Joannę z twarzą bardzo bladą, patrzącą na nich swemi rozszerzonemi źrenicami, czarnemi jak atrament. Dziecię nie poruszyło się; ściskając poduszkę obiema rączkami, opierała podbródek na niej. Otworzyła właśnie oczy i patrzała na nich.

— Joanno, co ci? — spytała Helena. — Niedobrze ci? chcesz czego?

Nie odpowiadała, nie ruszała się, nie spuściła nawet powiek i wciąż trzymała utkwione w nich wielkie swe oczy, z których strzelał ogień. Ponury cień zasępiał jej czoło, policzki zbladły zapadły. Zakurczyła pięście jak przed nadejściem paroksyzmu. Helena powstała szybko, błagając ją o odpowiedź; ale dziewczynka zawsze z tą samą sztywnością wciąż patrzyła na matkę wzrokiem tak przeszywającym, że ta nareszcie zaczerwieniła się i wyjąkała:

— Doktorze, zobacz, co jej jest?

Henryk odsunął był krzesło swe od krzesła Heleny. Zbliżył się teraz do łóżka i chciał wziąć jednę z rąk, co tak silnie ściskały poduszkę. Za

jego dotknięciem Joanna wstrzęsła się cała. Jednym rzutem obróciła się do muru, krzycząc:

— Zostawcie mię... Sprawiacie mi ból!

Obwinęła się kołdrą. Napróżno przez cały kwadrans starali się uspokoić ją łagodnemi słowy. Nakoniec, kiedy nie przestawali nalegać na nią, podniosła się i składając ręce, błagała:

— Proszę was, zostawcie mię... Sprawiacie mi ból. Zostawcie mię.

Helena wzburzona cała usiadła napowrót przy oknie. Henryk nie zajął już przy niej poprzedniego miejsca swego. Zrozumieli nakoniec; Joanna była zazdrośna. Nie przemówili do siebie ani słówka. Doktor chodził chwilę po pokoju, wreszcie wyszedł, niosąc niespokojne spojrzenia, które matka rzucała na łóżko. Po jego odejściu ta wróciła do córki i przemocą wzięła ją na ręce. I mówiła do niej długo.

— Posłuchaj, moja pieszczotko, jestem sama... Popatrz na mnie, odpowiedz mi... Nic cię nie boli? A więc to ja zrobiłam ci przykrość jakąś? Trzeba mi wszystko powiedzieć... Do mnie masz pretensyą? Co ci leży na sercu?

Ale napróżno pytała, napróżno pytaniem swojem nadawała rozmaite kształty, Joanna zapewniała, że nic jej nie jest. Nakoniec nagle zawołała:

— Nie kochasz mię już... nie kochasz...

I wybuchła ogromnym płaczem, konwulsyjnemi ramionami otoczyła szyję matki, okrywając twarz jej chciwymi pocałunkami. Helena z sercem zranionem, przytłoczona niewypowiedzianym smutkiem, długo trzymała ją w uścisku, mięszając łzy swoje z jej łzami i przysięgając, że nigdy nie będzie nikogo tyle kochała co ją.

Od tego dnia jedno słowo, jedno wejrzenie, rozbudzało zazdrość w Joannie. Dopóki była w niebezpieczeństwie, wiedziona instynktem, przyjmowała tę miłość tak tkliwą, która ją ratowała. Ale teraz czując się silniejszą, nie chciała dzielić się matką. Powzięła urazę do doktora, urazę, która skrycie wzrastała i zamieniała się w nienawiść, w miarę jak zdrowie wracało. Gnieździło się to w jej upartej główce, w charakterze podejrzliwym i milczącym. Nigdy nie chciała wytłumaczyć się jasno w tym przedmiocie. Sama nie wiedziała, co to było. Bolało ją tu, mówiła, kiedy doktor nadto zbliżał się do matki, i tak określając uczucie swoje, obie rączki przyciskała sobie do piersi. I nic więcej, paliło ją tu, a jednocześnie wściekły gniew tamował oddech i wielką bladością pokrywał twarzyczkę. I nie mogła powstrzymać się od tego; kiedy zarzucano jej, że jest niegrzeczna, utrzymywała, że ją niesprawiedliwie sądzą, i więcej jeszcze zacinała się w milczeniu. Helena drżała, nie śmiejąc podbudzać dziewczynki, by sama przed sobą zdawała sprawę z tego dziwnego uczucia; odwracała oczy przed tem spojrzeniem jednastoletniego dziecka, w którem nadto wcześnie błyszczała namiętność kobiety.

— Joanno, bardzo mię martwisz — mówiła ze łzami w oczach, kiedy widziała ją w napadzie szalonego uniesienia, która jednak sama poskromić usiłowała, a które dusiło ją.

Ale wyrazy te, co miały niegdyś taką nad nią władzę i zalaną łzami rzucały zwykle w objęcia Heleny, teraz utraciły moc swoją. Charakter jej zmieniał się. Dziesięć razy na dzień zmieniała usposobienie. Najczęściej miewała głos urywany i rozkazujący, mówiła do matki tak, jak gdyby przemawiała do Rozalii, wymagała od niej najdrobniejszych dla siebie posług, niecierpliwiła się i ciągle się uskarżała.

— Daj mi filiżankę ziółek... Jakże marudzisz! Każecie mi umierać z pragnienia.

A kiedy Helena podała jej filiżankę:

— Bez cukru... Nie chcę.

I gwałtownie kładła się napowrót; po raz drugi odpychała ziółka utrzymując, że je przesłodzono, że nie troszczono się już o nią wcale. Helena, bojąc się rozdrażnić ją więcej jeszcze, nie odpowiadała nic, patrzała tylko na nią, a wielkie łzy spływały po jej policzkach.

Szczególnie w obecności doktora Joanna okazywała gniewliwe usposobienie swoje. Jak tylko on wchodził, nieruchomie leżała na łóżku i pochylała głowę, jak te dzikie zwierzęta, co się boją, by do nich obcy nie zbliżył się. Czasami nie odpowiadała wcale, i nieruchoma z oczami utkwionemi w sufit, dawała się egzaminować i badać puls. Innych dni znowu nie chciała go widzieć wcale i z taką zaciętością zaciskała sobie oczy rękami, że chcąc je oderwać, trzeba byłoby wykręcić je. Jednego wieczora, kiedy matka podawała jej łyżeczkę lekarstwa, wyrzekła to okrutne słowo:

— Nie, to trucizna.

Helena zdumiała się; serce jej przeszył ból ostry; bała się dochodzić znaczenia słów tych.

— Co mówisz, moje dziecię? — spytała. — Czy rozumiesz, co mówisz?... Lekarstwa nigdy nie są dobre, ale trzeba je zażywać...

Ale Joanna uparcie milczała na to, odwracając głowę od lekarstwa. Od tego dnia kierując się tylko chwilowym kaprysem, brała lub nie brała lekarstwo, jak się jej podobało. Wąchała flaszeczki, i podejrzliwie spoglądała na te, co stały na stoliczku nocnym. I jeżeli raz odepchnęła którą z nich, to już poznawała ją i później; prędzej umarłaby, aniżeliby miała z niej napić się choć kropelkę. Zacny pan Rambaud tylko umiał czasem skłonić ją do tego. Teraz znowu przesadną czułość okazywała mu, szczególnie kiedy doktor był przy tem, i błyszczące wówczas rzucała wejrzenia na matkę, by się przekonać, czy ta cierpi nad przywiązaniem, jakie ona okazuje innemu.

— Ah! to ty, mój kochany! — wołała, jak tylko się pokazał. — Usiądź tu, blisko... Masz pomarańcze?

Podnosiła się na łóżku i, śmiejąc się, przeglądała kieszenie jego, w których zawsze były łakocie. Potem całowała go, odegrywając komedyą miłości, zadowolona i pomszczona tą męczarnią, jaką upatrywała na bladej twarzy matki swej. Pan Rambaud niezmiernie cieszył się, że pogodził się ze swoją małą ukochaną. Ale w przedpokoju, Helena, wychodząc na spotkanie jego, szybkim słowem wskazywała mu, co ma zrobić. Wówczas, nagle niby zdawał się spostrzegać lekarstwo na stoliku.

— Ah! pijesz syrop?

Twarzyczka Joanny zasępiła się.

— Nie, nie — mówiła półgłosem — to śmierdzi, to nie dobre, ja nie piję tego!

— Jak to? nie pijesz tego? — mówił dalej pan Rambaud wesołym tonem.—Jestem pewny, że to bardzo dobre... Pozwolisz mi napić się tego troszkę?

I nie czekając pozwolenia, nalewał sobie sporą łyżkę i połykał, nie krzywiąc się wcale, przeciwnie, udając, że mu to niezmiernie smakuje.

— Oh! doskonałe! — szeptał. — Źle robisz... Poczekaj, napij się troszkę.

Joanna ubawiona, nie wzbraniała się więcej. Przyjmowała wszystko, czego pan Rambaud pokosztował; uważnie śledziła wszystkie jego ruchy i zdawała się badać na twarzy, jaki skutek sprawiło lekarstwo. Poczciwy człowiek przez cały miesiąc karmił się tak aptecznymi przysmakami. Kiedy Helena dziękowała mu, wzruszał ramionami.

— Dajcież pokój! to bardzo dobre!—mówił wreszcie sam już przekonany o tem, dla własnej już przyjemności dzieląc się z małą jej lekarstwami.

Wieczory spędzał przy niej. Ze swej strony ksiądz przychodził co dni parę. Zatrzymywała ich, jak mogła najdłużej i gniewała się, kiedy widziała, że biorą za kapelusze. Teraz już bała się pozostać sama z matką i doktorem; chciałaby mieć zawsze gości, coby ich rozłączali. Często, bez żadnego powodu wołała Rozalią. Kiedy byli sami, nie spuszczała z nich oka, śledziła ich we wszystkich kątach pokoju. Bladła, jeżeli ręce ich spotkały się. Jeżeli przemówili do siebie po cichu, podniosła się i rozgniewana chciała wiedzieć, co powiedzieli. Nie ścierpiała tego nawet, kiedy suknia jej matki dotykała na dywanie nogi doktorą. Nie mogli zbliżyć się do siebie, ani spojrzeć jedno na drugie, by Joanna nie drżała natychmiast. Zbolałe jej ciałko, cała istotka niewinna i schorowana, tak nadzwyczajnie drażliwą się stała, że nagle odwracała się, kiedy poczuła, że za jej plecami uśmiechnęli się do siebie. Czuła, kiedy się którego dnia więcej kochali, czuła w powietrzu, które od nich do niej się dostawało; w dnie te była więcej ponurą, cierpiała, jak cierpią kobiety nerwowe, za zbliżeniem się gwałtownej burzy.

Wszyscy uważali Joannę za uratowaną. Helena sama powoli nabierała przekonania tego. To też paroksyzmy te zaczęła wreszcie uważać za kaprysy rozpieszczonego dziecka, nie mające znaczenia. Po sześciu tygodniach niepokoju i obawy, potrzebowała żyć nareszcie. Córka jej mogła teraz obywać się bez jej starań, miała więc chwile swobodne, a chwile te były odpoczynkiem i rozkoszą dla niej, co tak długo sama nie wiedziała o sobie, czy żyje nawet. Przetrząsała szuflady, cieszyła się, odnajdując zapomniane przedmioty, zajmowała się rozmaitemi małemi robotami, a to by wrócić do dawnych szczęśliwych dni życia codziennego. W tym powrocie miłość jej wzrastała, Henryk był jak gdyby nagrodą za tyle przebytych cierpień. W głębi pokoju tego czuli się po za światem całym, zapominali o wszelkiej przeszkodzie. Nic już ich nie rozdzielało, nic, tylko to dziecko, które miłość ich tak poruszała.

I właśnie Joanna to podżegała tę namiętność. Zawsze między nimi, ciągle szpiegując, zmuszała ich do ustawicznego przymusu, do komedyi obojętności, która więcej jeszcze rozdrażniała ich. Całemi dniami nie mogli słowa do siebie przemówić, czując, że ich podsłuchuje, nawet wtenczas kiedy zdawała się spać... Jednego wieczora Helena wyszła za Henrykiem do przedpokoju; znużona, złamana, miała właśnie rzucić się w objęcia Henryka, kiedy Joanna po za drzwiami zamkniętemi zaczęła krzyczeć: „Mamo! mamo!“ głosem tak strasznym, jak gdyby odczuła gorący pocałunek, którym doktor dotknął był włosów Heleny. Helena musiała wrócić natychmiast do pokoju, bo usłyszała, jak dziecko zeskoczyło z łóżka. Rozjątrzona, trzęsąca się, biegła do niej w koszuli. Po co ją samą pozostawili. Nie chciała tego. Odtąd pozostał im tylko uścisk ręki przy powitaniu i pożegnaniu. Pani Deberle od miesiąca już bawiła w kąpielach morskich ze swoim małym

Lucyanem; doktor, mając tyle swobodnego czasu, nie śmiał przepędzić nawet dziesięciu minut z Heleną. Słodkie ich rozmowy przy oknie ustały zupełnie. Kiedy patrzyli na siebie, oczy Joanny zapalały się gniewem.

Ciągłe zmiany jej humoru szczególnie dręczyły ich. Jednego poranku zalała się łzami, kiedy doktor pochylił się nad nią. Przez cały ten dzień nienawiść zamieniła się w gorączkową tkliwość; zatrzymała go przy swojem łóżku, dwadzieścia razy przywoływała matkę do siebie, jak gdyby chcąc patrzeć na nich, jak wzruszeni i uśmiechający się stali obok siebie. Matka, już uszczęśliwiona, marzyła o długim szeregu podobnych dni. Ale nazajutrz, kiedy Henryk przyszedł, dziewczynka przyjęła go tak źle, że matka oczami prosiła go, by odszedł; przez całą noc Joanna rzucała się jak w gorączce, żałując okropnie, że była dobrą. Podobne sceny wciąż się powtarzały. W przystępie czułości i namiętnych pieszczot, obdarzała ich godzinami słodkiej rozkoszy, ale zaraz potem nadchodziły złe godziny, a wówczas podbudzała ich tylko, zwiększając pragnienie należenia jedno do drugiego.

Powoli uczucie buntu obudziło się w Helenie. Nie ma wątpliwości, że oddałaby życie za nią, ale dla czegoż niedobre dziecko dręczyło ją teraz tak, kiedy niebezpieczeństwo już minęło. Kiedy pogrążała się w marzeniach o jakimś nieznanym cudownym kraju, gdzie widziała siebie obok Henryka, nagle obraz rozdrażnionej Joanny stawał przed nią; jedno uczucie walczyło wciąż z drugiem, a walka ta między macierzyństwem a miłością nadto ją męczyła.

Jednej nocy doktor przyszedł, pomimo wyraźnego zakazu Heleny. Od ośmiu dni nie mogli zamienić z sobą ani słowa. I teraz Helena nie chciała go przyjąć, ale on jak gdyby chcąc ją uspokoić, łagodnie popchnął do pokoju. Tam oboje sądzili, że są pewni siebie. Joanna spała głęboko. Usiedli na zwykłem swem miejscu, przy oknie, daleko od lampy; spokojny cień okrywał ich. Przez dwie godziny rozmawiali z sobą, zbliżając do siebie twarze swe, by mówić cicho, tak cicho, że w uspionym pokoju nic ciszy nie przerywało. Niekiedy odwracali głowę, rzucając wzrokiem na delikatny profil Joanny, której małe rączki leżały złożone na prześcieradle. Ale w końcu zapomnieli się. Szept ich wzmógł się. Nagle Helena zbudziła się, uwolniła swe ręce rozpalone od pocałunków Henryka. I zadrżała na myśl szkaradzieństwa, którego o mało nie popełnili.

— Mamo! mamo!—jąkała Joanna, nagle miotając się, jak gdyby dręczona snem strasznym.

Rzucała się na łóżku i z oczami klejącemi się jeszcze od snu usiłowała podnieść się.

— Ukryj się, błagam cię, ukryj się — powtarzała Joanna z niepokojem. Zabijesz ją, jeżeli zostaniesz tutaj.

Henryk znikł we framudze okna, po za aksamitną, niebieską firanką. Ale dziecko skarżyło się wciąż.

— Mamo, mamo, o, jak boli!

— Jestem tu, przy tobie, moja najdroższa... Gdzie boli cię?

— Nie wiem... Tu, patrz. Piecze mię.

Otworzyła oczy, twarz miała wykrzywioną i obie swe małe rączki przyłożyła do piersi.

— Chwyciło mię to nagle... Spałam, nieprawdaż? Uczułam jak gdyby wielki ogień.

— Ale przeszło już, nic już nie czujesz?

— Owszem, czuję ciągle to samo.

I wzrokiem niespokojnym przebiegła pokój. Teraz była już zupełnie rozbudzona, ponury cień zasępił czoło; twarz zbladła.

— Sama jesteś, mamo? — spytała.

— Ależ tak, kochanko!

Potrzęsła głową, patrząc, wietrząc w powietrzu, z wzrastającem wzburzeniem.

— Nie, nie, wiem dobrze... Jest ktoś... Boję się, mamo, boję się! Oh, oszukujesz mię, nie jesteś sama...

Nerwowy paroksyzm nastąpił; Joanna, łkając opadła na łóżko i ukryła się pod kołdrą, jak gdyby uciekając przed niebezpieczeństwem. Helena przerażona niezwłocznie wyprawiła Henryka. On chciał pozostać przy dziecku, ale nie pozwoliła na to. Wróciła i pochwyciła Joannę w ramiona swe. Dziewczynka wciąż powtarzała tę samę skargę, która zawsze była wyrazem wszystkich jej wielkich boleści.

— Nie kochasz mię już, nie kochasz!

— Cicho, mój aniołku, nie mów tego — wołała matka. — Kocham cię więcej niż wszystko na świecie... Zobaczysz jak cię kocham!

Czuwała nad nią aż do rana; widząc z przerażeniem, że miłość jej tak boleśnie odbija się w drogiem dziecięciu, postanowiła poświęcić swe serce. Joanna żyła jej miłością tylko. Nazajutrz Helena sprowadziła doktora. Doktor Bodin przyszedł niby przypadkowo i wybadał chorą; żartując osłuchał ją. Potem długo rozmawiał z doktorem Deberle, który pozostał był w sąsiednim pokoju. Obydwaj byli tego zdania, że stan obecny nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa; bali się jednak zawikłań jakich przy tem. Długo rozpytywali Helenę, widząc, że się znajdują wobec jednej z tych chorób nerwowych, które w rodzinach mają całą historyą swoją i które wprawiają naukę w kłopot. Powiedziała im to, o czem wiedzieli już po części, że babka jej była zamkniętą w domu obłąkanych w Tulettes, o kilka kilometrów od Plassans; że matka jej nagle umarła z gwałtownych suchot, a przez całe życie miała napady szału i nerwowe paroksyzmy. Ona sama podobna była do ojca, którego przypominała z twarzy i rozsądnej równowagi ducha. Joanna przeciwnie była żywym portretem babki; ale delikatniejszego składu ciała, nie doścignie zapewne nigdy ani wysokiej postaci jej, ani mocnej, kościstej budowy. Obydwaj doktorowie powtórzyli raz jeszcze, że potrzeba jak najostrożniej postępować z nią. Nie ma nigdy zbytku przezorności wobec tych cierpień chloro-anemicznych, które przyczyniają się do rozwinięcia tylu strasznych chorób.

Henryk słuchał doktora Bodin z uwagą, jakiej nie miał dla żadnego z kolegów dotąd. Radził się go względem Joanny z miną ucznia, który niedowierza sobie. W istocie, zaczynał już drżeć przed tem dzieckiem; wymykała się przed nauką jego; lękał się, by jej nie zabił, a zarazem nie utracił matki. Tydzień upłynął. Helena nie przyjmowała go już w pokoju małej. Wtenczas sam raniony w serce, chory zaprzestał wizyt swoich.

Pod koniec sierpnia Joanna mogła wstać nareszcie i chodzić po pokoju. Przez całe dwa tygodnie nie miała ani jednego paroksyzmu. Matka tylko cała jej oddana, zawsze koło niej, uleczyła ją. Z początku dziewczynka niedowierzała temu, znajdowała przyjemność w jej pocałunkach, ale śledziła wszystkie ruchy, przed uśnięciem brała ją za rękę i chciała ją zatrzymać w czasie snu. Potem, widząc, że nikt nie przychodzi, nikt się z nią nie dzieli, nabierała ufności i czuła się szczęśliwą, wracając do dawnego dobrego życia, kiedy to obie z matką pracowały pod oknem. Codziennie twarzyczka jej stawała się różowszą. Rozalia utrzymywała, że rozkwita w oczach.

Czasami jednak, ku wieczorowi, Helena zapominała się. Od choroby córki była poważną, trochę bladą, a na czole miała wielki zmarszczek, którego nie było wprzódy. Joanna dostrzegłszy jednę z tych chwil zmęczenia, jednę z tych godzin pustych, rozpaczliwych, sama czuła się bardzo nieszczęśliwą, a w sercu powstawał nieokreślony wyrzut. Cicho, nic nie mówiąc, wieszała się jej na szyi. Potem pytała łagodnie:

— Szczęśliwa jesteś, mateczko?

Helenę przechodził dreszcz. Pośpiesznie odpowiadała:

— Ależ tak, moja kochanko.

Dziecię nalegało jeszcze.

— Szczęśliwa jesteś, szczęśliwa?... Z pewnością?

— Z największą pewnością... Dla czegoż miałabym być nieszczęśliwą?

Joanna ściskała ją wówczas mocno małemi rączkami swemi, jak gdyby wynagradzając jej to. Będzie ją kochała tak mocno, tak mocno, mówiła, że w całym Paryżu nie znajdzie się ani jedna matka równie szczęśliwa. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Socyalizm jako objaw choroby społecznej. Zarys ustroju społecznego i krytyczna odprawa socyalizmu. Skreślił dr. Juliusz Au. Poznań 1878.*)

Rozprawa ta umieszczoną była poprzednio w fejletonie *Dziennika Poznańskiego*. Podobna jest ona ze sposobu pisania pod wielu względami do zamieszczonej w temże piśmie niefortunnej krytyki dzieła p. Witolda Starzyńskiego o Adamie Smith'cie, płytkość której autor dosadnie wykazał w swojej odpowiedzi.

P. Au w swojej rozprawie nic nowego nie mówi. Kto przeczyta kilka niemieckich broszur, wymierzonych przeciwko socyalizmowi, znajdzie tam całą argumentacyą, przytoczonego dzieła. W jednym wszakże względzie — ile wiem — jest oryginalny: od teoretycznego oddziela uliczny socyalizm i zwalcza oba. Pomysł to wcale dowcipny, i radzimy wszystkim przeciwnikom pozytywizmu, darwinizmu i innych heretyckich izmów pójść tą samą drogą. Z łatwością pobiją wówczas przeciwników swoich na łeb i na szyję.

P. Au nie żałował papieru i swojej pracy. Prócz krytycznej odprawy socyalizmu, która jednak ciosu strasznego mu nie zada, umieścił w swojej rozprawie wiele rzeczy, na które wszyscy bezwzględnie się zgodzą, nawet i socyaliści. Tu np. należą ustępy o dostatkach, przedsiębiorstwie, spółkach itd. Ustępy te nawet przeważają nad krytycznemi.

Nie wdając się w szczegółowy rozbiór książki p. Au, zobaczymy jednak o ile są uzasadnione jego twierdzenia. Weźmy niektóre ważniejsze.

„Położenie niższych warstw społeczeństwa — powiada p. Au — mianowicie klasy roboczej, ulepszało się w miarę jak ustalała się własność i powiększał kapitał społeczny.“

Twierdzenie to, jakkolwiek może się wydawać na pierwszy rzut oka prawdziwem, jest w istocie problematyczne. Sam fakt polepszania się losu robotników nie jest dokładnie oznaczony

Jeśli rzucimy okiem na całość dziejów ludzkich, to przyznać musimy, że dzikość pierwotna człowieka, surowość jego urządzeń, panowanie przemocy i gwałtu zwolna ustępowały stosunkom łagodniejszym, sprawiedliwszym i swobodniejszym. Oczywiście, musiało to wpłynąć także na polepszenie i doli klas pracujących. Najsilniejszym czynnikiem tego cywilizacyjnego rozwoju była *oświata*. Jeśli jednak w tym ogólnym obrazie postępu ludzkiego wpatrzymy się pilnie w niektóre oddzielne jego strony, to nasze przekonanie o polepszaniu się położenia klasy robotniczej musi stać się warunkowem. Weźmijmy np. Anglią, czyż stan klasy rolniczej nie doznawał większego dobrobytu za królowej Elżbiety aniżeli dzisiaj? Girdlestone w 1868 r., przedstawiwszy nędzę wieśniaka angielskiego, przyszedł do tego przekonania, że byłoby dla niego o wiele lepiej, gdyby żyjąc jak bydlę, był też jak bydlę pozbawiony poczucia swego stanu. Za królowej Elżbiety zaś poddaństwo osobiste już ustało, ziemi było dużo, robotników mało, i każdy rolnik łatwo mógł zostać stałym czynszowym osadnikiem (copyholder), tj. samodzielnym gospodarzem, któremu przy pracy nie źle się działo. Ludność rzemieślnicza nie doznawała też takiej nędzy, jaką cierpi dzisiejsza ludność fabryczna. Dickens w powieści „Kram starożytności“ w kilku potężnych rysach, odtworzył nam obraz tego piekła, w którem pozostawać muszą skazane na pracę fabryczną rodziny. Szczegółowe zaś przedstawienie niewoli ekonomicznej, gniotącej robotnika angielskiego, znajdzie czytelnik w znakomitem dziele Frydryka Engelsa. I właśnie w tym samym kroju i w tym samym czasie, tj. od panowania Elżbiety, ustaliła się własność osobista i ogromnie się powiększył kapitał społeczny. W jaki sposób arystokracya angielska „bez cienia gwałtu i przymusu, stopniowo i nieznacznie, prawie niedostrzeżenie zniosła całą gminną organizacyą, całą *współwłasność*, i wywłaszczywszy klasy rolnicze, sama prawie wyłącznie obszar ziemi posiadła“, odsyłamy do artykułu p. Włodzimierza Spasowicza p. t. „Kwestye i stosunki agrarne“ w *Ateneum* za 1877. „Ostatnie ślady *własności wspólnej chłopskiej* — powiada ten autor—zostały zatarte przez dokonaną za naszych czasów seperacyą gruntów, która była ostatniem przyłożeniem ręki do wywłaszczenia włościan.“ Otóż na przykładzie Anglii możemy się już przekonać, że w istocie łączność warunków ekonomicznych, nie jest taką, jakąby sobie p. Au pragnął, i że ustalenie się własności osobistej i tworzenie się obfite kapitałów w tym kraju nie wyzwoliło, lecz raczej uzależniło pracę.

Idźmy dalej. P. Au powiada, „z narostem ludności i tworzeniem się kapitałów, procent od kapitału się obniża a płaca za pracę podwyższa.“ Przypuśćmy, że tak. I cóż z tego? Czy wychodzi to na korzyść robotnika? Bynajmniej. Ale i samo to twierdzenie p. Au jest niedokładne. Ludność może szybciej wzrastać od kapitałów, a wówczas płaca za pracę obniżyć się musi, albowiem praca jako towar, tanieje przy zwiększonej podaży. Jeśli ludność i kapitał równomiernie wzrastać będą, to stosunek pracy do płacy nie powinien się zmienić, lecz produkta rolnicze podrożeją, a skutkiem tego płaca nie będzie miała poprzedniej wartości. Obniżenie się procentu od kapitału jest korzystne dla przedsiębiorców, wypożyczających kapitały, lecz dla robotnika nie ma żadnego znaczenia. Podwyższenie płacy, jak już widzieliśmy, nie zawsze jest oznaką polepszenia bytu. Widzimy więc, że twierdzenie p. Au, w gruncie rzeczy problematyczne, jest przy tem zupełnie bezcelowe.

„Najważniejszem — powiada p. Au — ze wszystkich tak w ogóle dla badań ekonomicznych jak w szczególności dla naszej kwestyi jest pojęcie *wartości*. Ona to stanowi podstawę naszych rozumowań, a mylne określenie tego pojęcia główném jest źródłem błędnych zapatrywań a *mianowicie też socyalistycznych teoryi*. Mimo całej ważności, określenie tego pojęcia jest sporne i ztąd jemu to szczególniejszą poświęcić musimy uwagę. Nie określiwszy ściśle pojęcia wartości i nie uzasadniwszy tego określenia dostatecznie, nie tylko trudno byłoby wykazać fałsze w wywodach socyalistycznych, ale w ogóle niezrozumiałym dla czytelnika przemawialibyśmy językiem.“

Bardzo ładnie. Otóż, twierdzę, że pan Au nietylko nie określił ściśle pojęcia wartości, ale nawet dobrze nie zrozumiał, o co chodzi.

Niezadowolony z rozmaitych definicyi, które przytacza, stawia swoją następującego brzmienia: „wartość jest uznaną miarą potrzeby, jaką dostatek zaspokoić zdoła“.

Pomijając, że podobna do tej definicya już była bardzo dawno wypowiedziana przez Locke'go, widzimy z niej, że p. Au mało jest obeznany z późniejszemi krytycznemi badaniami pojęcia wartości. Właśnie już Adam Smith rozróżnił pojęcie wartości użytkowej i zamiennej, czego nie uczyniwszy, p. Au nie postąpił naprzód w nauce, ale cofnął się tylko wstecz. „Wyraz wartość — powiada John Stuart Mill — użyty bez przymiotnika, oznacza zawsze w ekonomii politycznej wartość zamienną“. P. Au zaś daje definicyą wartości użytkowej.

Przytem kwestya wartości — jak słusznie uważa Mill jest kwestyą zasadniczą, ale tylko w takiem społeczeństwie, w którem systemat przemysłowy zależy na kupnie i sprzedaży. Chodzi tu przy określeniu wartości zamiennej rozmaitych towarów o znalezienie takiego towaru, któryby mógł być miarą stosunku zamiennego dla innych. Takim towarem — jak słusznie wykazał Adam Smith — jest praca robotnika. Nie podoba się to panu Au, ponieważ, jak powiada, socyalizm na tem twierdzeniu Smitha głównie twierdzenia swoje opiera. Czyni więc Smithowi ten zarzut, że „zręczny rzemieślnik przy mniejszej pracy sporządzi przedmiot lepszy, aniżeli partacz przy znacznie większej“. Ale i na tem już zastanowiono się dawniej. Właśnie Ricardo ilość pracy przełożył na czas robotniczy i przyjęto za miarę, jak to powszechnie bywa, średnią czyli przeciętną jego ilość, potrzebną dla wyprodukowania danego przedmiotu. Karol Max, którego p. Au z góry traktuje, poszedł tylko torem tych wielkich ekonomistów i uzupełnił teoryą wartości.

Można więc już na tem zakończyć. Sam p. Au bowiem powiedział, że „nie określiwszy ściśle pojęcia wartości i nie uzasadniwszy tego określenia dostatecznie, nietylko trudno byłoby wykazać fałsze w wywodach socyalistycznych, ale wogóle niezrozumiałym dla czytelnika przemawiałby językiem“. *B. L.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 19. września.

Sumienny korespondent z Galicyi do Gazety Polskiej daje najlepszy wzór kronikarzom, w jaki sposób siedząc na gruszce można kopać pietruszkę, a dziwić się wielkiej cybuli. Pisząc w Krakowie, kładzie się datę ze Lwowa, a wziąwszy do ręki szczękę Ojcowa i Piaskowej Skały gromi się nią wszelkie Filistyny oczerniające Galicyą i Kraków. Szkoda tylko, że styl i manierowany dowcip tej korespondencyi za nadto przypomina autora owych „Przygód Krakowianina na Wystawie lwowskiej“, które taką śmiesznością okryły gród podwawelski. Czy by to było nawrócenie się, czy satysfakcya spotwarzonemu miastu? — Nie wiemy.

A z tym Krakowem, z jego prezydentem i z jego Radą dość mamy do czynienia. Od chwili przybycia na sejm szanownego posła z Chrzanowa, sprawa Wołowskiego ciągle wydobywa się na wierzch. Pan prezydent chodzi już z rewolwerem w kieszeni rzucając strzałami wyjaśnień na wszystkie strony. Była nawet chwila, że miał chęć stanąć przed areopagiem bandytów literackich we Lwowie, ale skoro już *Dziennik Polski* zdjął z niego znamię denuncyanta, uważał, że rewolwer będzie przy dalszej obronie najlepszym czci jego rzecznikiem. — Jaka to szkoda, że Lwów nie jest Gasteinem? agenci księcia Bismarka, którzy aresztują tam wszystkich trzymających rękę w kieszeni — mieliby wyborną gratkę i zasługę wykrycia aspiranta do zamachu na życie jego i cesarza Niemiec. — Tymczasem u nas we Lwowie, wszyscy dziennikarze, inaczej zwani warchołami, tak się gdzieś pochowali przed owym rewolwerem pana prezydenta z Krakowa, że u Kosteckiego pusto, w redakcyach pusto, a strachajło ze Szczutka drapnął podobno aż do Krakowa, żeby tam przed Radą miejską rozsławić odwagę obywatelską ich wielkorządcy i rzucić postrach na wszelką opozycyę.

Mimo odbywających się posiedzeń sejmu i tylu ważnych spraw, jakie wypisano na porządku dziennym, pogrzeb księcia Leona Sapiehy w Krasiczynie był przedmiotem ogólnego zajęcia we Lwowie. Takie powszechne uznanie i objawy szczerego żalu połączonego z prawdziwem współczuciem dla rodziny zmarłego dawno już w Galicyi nie miały miejsca. Kilka tysięcy osób z różnych stron kraju zebrało się tam dla oddania ostatniej posługi pierwszemu obywatelowi, którego pamięć przejdzie do potomności. Duchowieństwo obu obrządków, władze krajowe i autonomiczne, deputacya Rady miejskiej, deputacye różnych instytucyi, którym zmarły książę przewodniczył, wszystko to pospieszyło złożyć na trumnie skołatanego starca wieńce niespożytej zasługi. Marszałek hr. Wodzicki w mowie pełnej uznania przedstawił zgromadzonym obraz prawego i zacnego obywatela kraju, Polaka i patryoty; — jego nacisk na tę okoliczność, że zmarły nie chciał sięgać po zaszczyty, które się doń uśmiechały, daje najlepszy obraz charakteru człowieka, służącego wyłącznie tylko sprawie narodowej... Wogóle musimy przyznać, iż szlachetne, pełne taktu i wytrwałości działanie hr. Wodzickiego, odkąd zajął prezydyalne krzesło w sejmie i Wydziale krajowym, na każdym kroku zjednywa mu uznanie czci i sympatyi narodowej i każe się spodziewać, że spuścizna po księciu Leonie w dobre dostała się ręce.

Z codziennego życia lwowskiego mamy do zanotowania otwarcie zimowego sezonu teatralnego, który jakoś nie bardzo licznych ściąga spektatorów. Los teatru naszego, również spoczywa w rękach Sejmu, który decyduje o sub-

wencyi, a jakkolwiek duch budżetowej oszczędności coś zanadto wieje z sejmowej sali, to jednak liczymy, że opera lwowska nie będzie traktowaną po macoszemu.

Szkoły muzyczne, na czele których stoją zawsze jak owe na dwóch biegunach walczące z sobą bogi, pan Mikuli z panem Markiem, ogłosiły swoje programy. Wartoby żeby publiczność chciała liczniejszy niż dotąd wziąść udział w tej muzykalnej walce, skoro trafia się tak łatwa sposobność korzystania z taniej nauki. Nie mogąc politykować na wielką skalę, odgrywajmy się na fortepianach i skrzypcach, trąbach i waltorniach, a to zawsze rozgrzeje ducha i w tonie ogólnej harmonii wpłynie na podniesienie taktu narodowego.

Po nurzących upałach, które się cokolwiek w tym roku spóźniły, zawiał już chłód jesienny ze Wschodu, a z nim rozłożyły się stragany z owocami. Szereg bojków już zajął w swe posiadanie plac Bernardyński, piękne węgierki nęcą, pyszne winogrona sprowadzają ślinę na usta, a cały Lwów od rana do nocy spożywa te dary Boże żartując sobie z cholery, która gdzieś tam nad brzegami Śródziemnego morza dziesiątkuje Marokanów.

Z przybyciem posłów na Sejm krajowy ożywił się znacznie ruch w mieście. Wybrano już komisye, sprawdzono wybory, a tyralierka polemiczna *Czasu* z *Dziennikiem Polskim* rozpoczęła dość żywą strzelaninę. Są pewne symptomata, że gotuje się coś w łonie sejmujących dla skupienia pewnej partyi nieco ruchliwszego usposobienia. Sprawa załatwienia rozterek w łonie reprezentacyi naszej w Radzie państwa jest dosyć naglącą. *Czas* ignoruje tę mniejszość, która wystąpiła z koła, *Dziennik* chciałby jej dać głos we własnej obronie sprowadzając faktyczną solidarność delegacyi z Sejmem, który bądź co bądź powinien być jedynym rozjemcą wszelkich nieporozumień narodowych. Zobaczymy kto wygra, zaznaczając tymczasem, że hegemonia partyi krakowskiej cokolwiek zadaleko idzie nawołując do zgody, lecz tylko pod swoim własnym sztandarem. Między publicznością krążą tu jakieś głuche wieści o listach pisanych z Krakowa do Zygmunta Kaczkowskiego, które p. Agaton Giller drukiem ma ogłosić, a z których płynąć ma to przekonanie, że nie wszystko bywa złotem co się z wierzchu świeci. Każde stronnictwo może i powinno mieć swój program polityczny i tego programu bronić wszelkiemi siłami, jednak bezwarunkowe i nietaktowne pogardzanie tem wszystkiem co od niego nie wychodzi — nie sprowadzi nigdy pożądanego porozumienia. Potrzeba i samemu żyć i drugim żyć pozwolić, inaczej wywiązać się musi antagonizm oparty nie na idei, ale na formie i zawziętości, która wszelką dyplomacyą przedmiotową nazywać musi ubliżającą nazwą reżyseryi dziennikarskiej. W ten sposób nie podaje się ręki do zgody, lecz przeciwnie wciska się jej broń, wiadomo zaś, że los każdej bitwy leży w rękach Opatrzności.

Z WYSTAWY OBRAZÓW.

(Dokończenie).

I p. Antoni Kozakiewicz równie obficie jak Streit, zasilił tegoroczną wystawę swymi obrazami. Mamy tu jego: „Bez opieki“, „Zabawę w kaźni“ i „Chustkę świętej Weroniki“. Zabawa w kaźni przedstawia wnętrze jednego z więzień rosyjskich podczas powstania 1863 r. Artysta, który prawdopodobnie przeszedł przez taką kaźnię, chciał z fotograficzną niemal wiernością odtworzyć jedną ze scen, widzianych tam przez siebie. Ale ani wyboru sceny, ani jej artystycznego przedstawienia nie można nazwać szczęśliwemi. Widok trywialnej wesołości na tle smutnych wypadków powstania robi bardzo przykre wrażenie: widzimy tu bowiem w jednej połowie obrazu dwóch pląsających jeńców, których pląsom z wielkiem upodobaniem i zajęciem przypatruje się kilku innych więźniów. Bardzo być może, że takie sceny odbywały się w kaźniach, może nawet należały do zwyczajnych i jeżeli malarzowi chodziło o napiętnowanie lekkomyślności polskiej, to zapewne nie mógł lepszego obrać tematu, tylko powinien go był dramatyczniej ująć. Ale jeżeli mu chodziło o obraz czasów więziennych, o syntezę niejako życia więziennego, to powinien był obrać inną chwilę, lepiej streszczającą w sobie to życie. Wprawdzie i tutaj w drugiej (lewej) połowie obrazu znajdujemy parę postaci, na których twarzach przebyta walka i cierpienia niewoli szlachetnymi wyraziły się rysami, grupa ta jednak nieliczna i w kąt zasunięta nie zaciera niemiłego wrażenia, które reszta obrazu wywołuje.

Grottgerowi w przedstawianiu scen z ostatniego powstania można było czasem zarzucić zbyteczną ekstazę; p. Kozakiewicz jest na przeciwnym biegunie i to co w nim razi, to oschłość fantazyi, nie umiejącej realizmu podnieść do poezyi.

Nazwisko pana Pochwalskiego było dotychczas zupełnie nieznanem, przynajmniej u nas we Lwowie. Jeśli to zatem jest młody talent, wstępujący dopiero w szranki sztuki, to obraz jego „Chłopcy w kąpieli“, pozwala rokować o nim jak najlepsze nadzieje. W istocie obraz ten dużych rozmiarów należy do głównych ozdób tegorocznej wystawy. Nad brzegiem jakiejś wody, gęsto zarosłym i zacienionym krzewami i drzewami, na tle ciemnej zieloności jaśnieje pięć żywych, jędrnych, muskularnych ciał chłopięcych, których twarze są tak figlarne, miłe i tak swojskie, że gdybyśmy ten obraz spotkali nawet gdzieś na krańcu świata, to i wtedy zaraz byśmy odgadli, że to są dzieci polskie. Jest dużo niemal murillowskiej gracyi w przedstawieniu tych dzieci, dodać do tego trzeba, że karnacya ciał tchnie życiem, a ugrupowanie bardzo naturalne. Za dużo tylko narzucił artysta w jednem miejscu kwiatów, których jaskrawe kolory kłócą się z ogólnym kolorytem, brak też czuć się daje perspektywy powietrznej, ale usterki te sowicie wynagrodzone są zaletami, które powyżej wymieniłem.

Do ozdób tegorocznej wystawy potrzeba zaliczyć także „Hanię“ p. Grucholskiego. Nazwisko to w malarstwie równie nam mało było znane, jak p. Puchwalskiego, i „Hania“ równą jest dla nas niespodzianką, jak „Chłopcy w kąpieli“. Jest to mały obrazek, przedstawiający dziewczęcą ludową postać, w której jest tyle naturalnej słodyczy i poezyi, że obrazek ten można porównać do jakiejś rzewnej zwrotki ludowej, co powinno być dlań wielką pochwałą.

Chmielowskiego Adama „Oczekiwanie“ pod względem technicznym okazuje postęp w rozwoju talentu tego młodego malarza, szkoda tylko, że treść obrazu nie jest dość zrozumiałą. Obraz bowiem przedstawia śniegiem pokryte pole, na którem stoją sanki zaprzężone trójką rosłych koni. Noc już zapada, w dalekich chatach widać ognie. Na sankach prócz woźnicy i psa nie ma nikogo, właściciel psa widocznie zsiadł z sanek i udał się do wsi, każąc woźnicy czekać na siebie, ale po co się udał? tego sto lat stojąc przed obrazem nie możnaby się domyśleć, a raczej nie można nic znaleźć w obrazie, coby uzasadniało jakikolwiek domysł. Jakże wyższym jest pod tym względem obraz p. Pochwalskiego, w którym treść jest tak wyraźna i żywa, że nie potrzebuje najmniejszego komentarza.

Pana Mireckiego Kazimierza „Śmieszny konkurent“ odznacza się świetnym kolorytem, ale sam motyw obrazu tak jest nijaki, postacie kobiece tak są podobne do żurnalowych figurek, a postać samego konkurenta do jakiegoś pajaca ze sceny, że cały obraz robi wrażenie maskarady a nie pochwyconego na gorącym uczynku życia.

Dział krajobrazów nie bogatszy od innych działów. Brochocki Walery, którego dwa piękne krajobrazy podziwialiśmy przeszłego roku na naszej wystawie, tego roku przysłał dwa maleńkie obrazki: „Krajobraz z Nadwiślańskich okolic“ i „Nad wodą“. Na pierwszym widzimy kawałek drogi wychodzącej z lasu, po której wieśniak prowadzi woły. Widać jak brną po piasku, droga bowiem piaszczysta i oblana słońcem, które musi być wysoko, jak to sądzić można po cieniu drzew stojących nad drogą. W głębi pod lasem idzie jeszcze tym samym traktem parę wieśniaczek, a przecież pomimo tych kilku figur ludzkich dziwna cisza i samotność wieje z tego obrazka. Widz jest pewny, że to ożywienie wiejskiej drogi jest chwilowe, że niech przejdą woły i wieśniaczki, a znów droga na długo będzie cichą, pustą i samotną.

W drugim obrazku wieczorny krajobraz ożywiony jest postacią kawalera łowiącego ryby na wędkę, a jednocześnie całującego rękę panienki, która się zapewne przypadkiem znalazła przy nim. Obrazek ten pod każdym względem ma mniejszą wartość od pierwszego.

Malowniczem wieczornem oświetleniem odznacza się Jaroszyńskiego krajobraz: „Stanowisko na słomki“. Godzi się wspomnieć jeszcze o Kazimierza Szolca: „Osadzie nad parowem“, o wybornej kopii z Hermana przez Niemczykiewicza „Widok w Holandyi“ i o krajobrazach Grabińskiego i Świeszewskiego.

Między portretami pierwsze miejsce zajmuje portret ś. p. księcia Leona Sapiehy przez p. Rodakowskiego. Artysta ten ma ustaloną sławę znakomitego portrecisty, ale można wątpić, czy portret, o którym mowa, odpowiada w zupełności tej wysokiej sławie. Twarz byłego marszałka, pomimo wielkiego podobieństwa rysów, ma przecież jakiś nienaturalny wyraz, jakby wymuszonego ożywienia, który razi każdego, kto choć z galeryi sejmowej miał sposobność oglądać księcia.

Obok tego portretu jest zaledwie kilka innych pędzla pp. Grabowskiego, Jabłońskiego, Bieńkowskiego, Kruszyńskiego i Gottlieba. P. Kruszyński, któremu w innych rodzajach malarstwa bardzo się nie powodzi, w swoim portrecie pana K. złożył dowód, że może być wcale dobrym portrecistą. P. Maurycy Gottlieb, którego obrazy na przeszłorocznej wystawie tak wielkie obudzały zajęcie, nadesłał trzy studya, dwie głowy męskie, jedną kobiecą. I te studya odznaczają się przedewszystkiem harmonijnością i słodyczą kolorytu, właściwą talentowi pana Gottlieba.

Między akwarelami znajdują się dwie Juliusza Kossaka: „Stara studnia“, wdzięczny obrazek, przedstawiający podróżnych, którzy zatrzymują się na drodze przy starej studni dla zaczerpnięcia wody, i „Farys“ ilustracya poematu Mickiewicza. Beduin i koń jego, czarni i chudzi, jak gdyby wypili morze płomieni, którem nazwać można rozpalone powietrze piaszczystej pustyni, pędzą wichrem przed siebie, a nad głową jeźdźca sęp krąży i „lśniącymi szpony w oczy mu urąga“. Ten to motyw z poematu obrał Kossak do swojej akwareli. Jeżeli w Farysie pozwolimy sobie widzieć uosobienie wyobraźni romantycznej, przed którą skały i sępy realizmu musiały ustępować z drogi, to nikt się nie zadziwi, jeżeli powiemy, że patrząc na akwarelę pana Kossaka mi-

mowoli przychodzi nam na myśl nieśmiertelny Don Kiszot i jego wierny Rosynant.

Rzeźba jest u nas tylko dodatkiem do wystawy obrazów. Dodatek ten w obecnym roku zeszedł do niesłychanie szczupłych rozmiarów, tylko bowiem pp. Rieger i Hoszowski wystawili po parę biustów. Na szczególną uwagę zasługują dwa piękne popiersia (marmur i bronz) pana Riegera, którego talent nauczyliśmy się już cenić na przeszłorocznej wystawie.

J. X.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Aforyzmy polskie*, broszura polityczna, opuściła prasę w Wiedniu.

*** *Śpiewnika polskiego*, wyszedł z druku zeszyt 3, zawierający piosnki myśliwskie, towarzyskie, okolicznościowe itp

*** *Historyi wielkich odkryć geograficznych*, Oskara Peschla, wyszedł z druku w polskim przekładzie zeszyt IV.

*** Niewyczerpany J. I. Kraszewski wydał dwie nowe powieści *Ada* w 3 tomach, wyszła w Wilnie nakładem zasłużonej firmy Józefa Zawadzkiego i *Sąsiedzi*, powieść w 2 tomach opuściła prasę w Warszawie.

*** *Przewodnik bibliograficzny* wydawany w Krakowie przez Władysława Wisłockiego, wychodzi od lipca co miesiąc. Byłoby pożądanem oddzielenie bibliografii polskiej od zagranicznej, dotychczas bowiem w *Przewodniku* książki polskie, niemieckie, francuskie są pomięszane w spisie.

*** „Historya zbytku.“ Taki tytuł nosi nowe dzieło p. Baudrillarta, głównego autora popularnego podręcznika, przyswojonego naszemu piśmiennictwu przez Belejowską. Zbytek prywatny i publiczny stanowi temat bodaj czy nienaruszony jeszcze przez ekonomistów

To, co kaznodzieja na ambonie lub moralista w doktrynerskiej nauce prawił o szkodliwości zbytku, ekonomia pomijała milczeniem. „Histoire de luxe“ Baudrillarta jest pierwszem dziełem poważnem w tym przedmiocie. Witamy więc je z radością, tem większą, że o ile słyszeliśmy, książka ta ma być spolszczoną. Dzieło wyjść ma w kilku tomach, zawierających cały cykl zbytku pod względem historycznym i cywilizacyjno-kulturalnym. Tom I. zawiera: Teoryę zbytku według różnych szkół: rygorystycznej, idealnej, socyalnej i t. p. niemniej dzieje zbytku pierwotnego, na Wschodzie i w Grecyi. Następne tomy traktować będą o zbytku zachodnim, o wiekach średnich i nowszych przejawach luksusu.

Muzyka na wystawie paryzkiej.

(*Według „Revue des deux mondes.“*)

— W — Malarstwo ma swój salon, dlaczegoby muzyka swojego posiadać nie miała?

Takie pytanie postawili sobie wielkorządcy na Trocadero, i kompozytorowie różnych krajów Europy stali się wystawcami.

Paryżanie radzi popisać się na wystawie ze wszystkiem nawet z konceptem uchwycili w lot różnice i podobieństwa między dwoma salonami i ochrzcili szranki turniejów kompozytorskich mianem „salonu odprawionych z kwitkiem.“

Naznaczyli sobie bowiem schadzkę w tej sali złocistej i wspaniałej wszyscy zawiedzeni, gromadząc się na dobrotliwe wezwanie administracyi: *Sinite parvulos*.

Nie ujmując nic młodej szkole muzyków, przyznać trzeba, że takie hasło co najmniej oryginalnie brzmi na wystawie, która w muzyce jak we wszystkich kierunkach twórczości winna mieć na celu wykazanie gościom europejskim, że sztuka francuska ma swoją charakterystyczną narodową cechę, streszczona najsilniej w dziełach mistrzów i pierwszorzędnych talentów. Wątpimy, ażeby Europa odczula tchnienie tego ducha francuskiego w nowszych kompozycyach symfonicznych w rodzaju „symfonij mytologicznych“ p. Saint-Saënsa lub *suit* orkiestrowych p. Massenet'a. Są to dzieła robione według wzorów niemieckich, ale przy całej dokładności roboty nie dadzą nikomu pojęcia o własnościach szkoły francuskiej.

Jednym z najoryginalniejszych, jeżeli nie najdziwaczniejszych „wystawców“ tegorocznych jest p. Lalo, którego „symfonię“ skrzypcową słyszeliśmy w Warszawie w ciągu minionego sezonu. Uwertury jego pod tytułem „Le roi d'Ys“ słuchano z zajęciem, nie zawsze rozumiejąc o co rzecz idzie.

Jestto usiłowanie wcielenia jakiegoś ideału romantycznego w mglistych śnionego marzeniach: symfonia zdaje się opowiadać epizod bohaterski, posępne przeczucia, namiętności rozkiełznane, grozę pobojowiska, nad którem śmierć się unosi. Rzecz napisana energicznie, z temperamentem, ręką nerwową ale pewną; znaleźć tam można wszystko co się nabywa studyami i wysiłkiem woli, wszystko co tylko chińszczyzna muzyczna naszych czasów wymyśleć zdoła najciekawszego, najdowcipniej wysmarzonego. Wśród rozwlekłości nudnych czasem, ale zawsze niepospolitych, wśród ubóstwa myśli, instrumentacya mieni się bogactwem najdroższych klejnotów. Słysząc tę pomysłowość w rytmach, tę zręczność w użyciu regestrów każdego instrumentu, tę umiejętną kombinacyą brzmienności, nie można wstrzymać się od takiego sądu: wszystko to powiedziane jest cudownie, ale czy warte było wypowiedzenia?

Włochy zwracają się dziś również do Niemiec. W Medyolanie, we Florencyi, Goethe i Heine popularniejszemi są od Berangera i Musseta, a na muzykę wionął także od północy wietrzyk symfoniczny. Zresztą Italia była klasyczną ziemią nietylko melodyi; po naukę i tradycyę obejrzeć się tylko w przeszłość potrzebuje i sięgnąć po zaniedbaną trochę spuściznę Palestriny, Scarlattego, Cherubiniego.

Zwrot taki czuć się już nieco daje w nowszych kompozytorach. Dobrze poprowadzona uwertura z opery „Promessi sposi“ zaleciła uwadze publicznej nazwisko p. Ponchiellego; wyróżniono również uwerturę d. maj. p. Foroniego, wdzięczny gawot na instrumenta smyczkowe p. Bazziniego i poetyczny marsz na śmierć Ofelii p. Faccio. „Contemplazione“ p. Cataloniego, adagio na smyczki p. Bolzoniego, „Lenore“ p. Smareglia, laureata konserwatoryum medyolańskiego, zasługują na wzmiankę jako utwory charakteryzujące z różnych względów prąd kompozycyi orkiestrowych, który muzykę włoską usiłuje dziś popchnąć na nowe tory.

Nie brak też ku temu i środków technicznych. Posłuchajmy n. p. orkiestry z la Scala, jaki zapał, jaka brawura połączona z najściślejszą dokładnością, z najmisterniejszem wypracowaniem szczegółów!

Orkiestra popularna turyńska przykuwała słuchaczów nietylko własnemi zaletami, ale oryginalnością wykonywanych intermedyów do tragedyi Cossy Kleopatra. Oprócz trzech części produkowanych publiczności: uwertury, barkarolli i marsza, istnieje jeszcze symfonia pod tytułem „Bitwa pod Actium“, scherzo-orgia marsz pogrzebowy. Autor intermedyów p. Mancinelli, muzyk liczący lat niespełna trzydzieści, ma talent dzisiejszego polotu, bogactwo barw, przeczucie stylu i wstręt do form skończonych, do architektury symetrycznej, a natomiast zamiłowanie we fragmentach, w utrąconych kolumnach, w odłamach cudnie rzeźbionych kapiteli, w mozaikach przypasowanych z różnych brzmienności. Francuzi nazywają go Massenetem włoskim, a Blaze de Bury dodaje zastrzeżenie, że jest to Massenet z pomysłami.

Konserwatoryum paryskie nie stanęło do walki. Dlaczego? Różni różnie mówią. Według optymistów, miało to być subtelne poczucie obowiązków gościnności; przypuszczenie śmiałe, jeśli weźmiemy na uwagę, że nie wszędzie Francya okazywała się tak gościnną. Pesymiści znów twierdzą, że orkiestra konserwatoryum zamknęła się wyniośle w przeświadczeniu swej wielkości i cytują dowcip Aubera, który wśród uwielbienia obudzonego „Pustynią“ Dawida, rzekł do sąsiada:

— Poczekajcie, niechno zejdzie ze swego wielbłąda!

Konserwatoryum nie chciało wyjść z doskonałości swego Stradivariusa.

Jakiekolwiek mogły być pobudki powściągliwości orkiestry konserwatoryum, wydobywają one z naszej piersi westchnienie na myśl, że wstrzemięźliwość nie jest kardynalną cnotą pewnego blisko nam znanego konserwatoryum.

Nieobecności konserwatoryum paryskiego nie wynagrodziła muzyka pokojowa francuska, dość smutnie na Trocadero reprezentowana. Już sam pozór „Sali konferencyj“ źle usposabia. Nagie ściany, krzesełka słomą wyplatane, estrada zaledwie pokryta ubożuchnym dywanem, przypominają przedsionek sali licytacyjnej.

W takiem to otoczeniu słucha się tria Castillona, kwartetu Dancla, fortepianu Alcona, tria Vidara i kompozycyi Gondyego, przypominających romantyzm Mendelssohna w wyblakłem, nieco spłowiałem obliczu.

ROZMAITOŚCI.

*** Gmina wolnej miłości. Kolonia Oneida założoną została w 1848 roku przez Johna Gamfry Newsa.

Ukończywszy w 1834 roku kurs nauk w duchownem seminaryum, John Gamfry, stał się głosicielem nowej w swoim rodzaju nauki, zasadzającej się po części na mistycyzmie, poniekąd zaś na ideach praktycznych. Naukę tę ochrzcił mianem „udoskonalenia“ (perfectionisme.)

Po długich rozmyślaniach, powziął on zamiar, utworzyć nowy systemat ustroju społecznego, któryby się opierał na swobodzie stosunków między mężczyzną a kobietą, ujętej jednakże w pewne karby i miarkowanej uczuciem religijnem, mającem wielką łączność z fanatyzmem. Plan swój wprowadził w krótkim czasie w wykonanie, i ku niezmiernemu zdziwieniu wszystkich, gmina wolnej miłości długo cieszyła się jak najzupełniejszym spokojem i znajdowała się w stanie kwitnącym. Wielkiego atoli powodzenia nauka Johna Gamfry widocznie nie miała, albowiem obecnie liczy ona tylko tylu członków, ilu posiadała w chwili swego powstania, t. j. około stu pięćdziesięciu mężczyzn i prawie takiej samej liczby kobiet. Za to trzeba przyznać, że zaledwie znajdzie się na ziemi grono ludzi, doświadczających takiego dobrobytu, jak kolonia Oneida. Wszyscy członkowie gminy pracują prawie z jednakową żarliwością dla wspólnej korzyści i przyczyniają się tym sposobem do wspólnej pomyślności. Rolnictwo stanowi główne zajęcie członków gminy, którzy oprócz tego garną się i do niektórych rodzajów przemysłu, jako to: do robienia konserw, sideł jak najrozmaitszych, przeznaczonych do łowienia nawet grubej zwierzyny, jak naprzykład jeleni itp. Temu to właśnie ostatniemu rodzajowi przemysłu gmina wolnej miłości przeważnie zawdzięcza dobrobyt.

Należący do gminy kawałek gruntu obejmuje przestrzeń 587 akrów, tudzież wspólną siedzibę, ogromny dom, zbudowany z cegły, umeblowany nietylko z wykwintnym komfortem, ale nawet i z pewnym przepychem.

Biblioteka składa się z pięciu czy sześciu tysięcy tomów, wybór których nie pozostawia nic do życzenia; większa część dzieł owych należy do dziedziny ekonomii politycznej i nauk społecznych. W kolonii spotkać można wielu ludzi, posiadających gruntowne i zarazem najróżnorodniejsze wiadomości, tak, iż przeciętny poziom wykształcenia, przynajmniej między mężczyznami, przewyższa o wiele przeciętny poziom wykształcenia mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Produkty ziemi jak również i przemysłu bywają sprzedawane w okolicy albo wysyłane na sprzedaż do miast, niedaleko położonych.

Zarząd kolonii jest prosty, wzorowy i wszyscy jej członkowie odznaczają się wielkiemi zdolnościami do handlu. W roku zeszłym na kawałku ziemi, będącym własnością gminy, liczono 400 koni i 120 sztuk bydła rogatego. Sześć akrów było pokrytych bobem, na ośmiu akrach rosły maliny etc. Interesa kolonii szły bardzo pomyślnie. Wielu jednak podróżników przekonało się jak najzupełniej, iż gmina znajduje się w stanie kwitnącym dzięki jedynie najmowanym robotnikom, i że członkowie jej zajmują się tylko nadzorem oraz łatwemi miłostkami.

Są to bez wyjątku ludzie zamożni, o losie zapewnionym. Młode pokolenie gminy zrozumiało to i przejęło się przytem sceptycyzmem, który przedstawia całkiem sprzeczność ze spirytualizmem, stanowiącym kamień węgielny stowarzyszenia. Wskutek tego zaczęło się krzewić odstępstwo; odstępcy są zwolennikami jak najbardziej krańcowego pozytywizmu; rzecz dziwna, iż na czele ich stoi syn samego

Newsa, doktor, cieszący się zasłużoną reputacyą. Niejednokrotnie bronił on publicznie swych zasad przeciw nauce ojca, której poplecznikami było naturalnie starsze pokolenie.

Przed niedawnym czasem udał się on do New-Yorku, gdzie zajmował się praktyką lekarską, ale następnie zamieszkał w Oneidzie, powodowany przywiązaniem dla ojca, który będąc obecnie w późnym już wieku, dotknięty jest ciężką chorobą.

Wszelako, pomimo to, nie ma wątpliwości, iż syn przestanie być niedługo członkiem wyż rzeczonego stowarzyszenia. Za przykładem jego poszli już i inni, posiadający nawet większe od niego wpływy, i wrócili do życia prywatnego. Słowem, gmina zaczyna chylić się ku upadkowi i oczywiście zniknięcie jej jest tylko kwestyą czasu.

Taka jest siła liberalnych praw. Gdyby taka gmina zawiązała się u nas w Europie, napotkałaby na prześladowania policyjne, któreby napędziły do niej miliony zwolenników.

BARON DE MORNAS.

LEGENDA.

Na lewym brzegu Rodanu, po nad wioską Mornas, wznoszą się ruiny zamku Adrets.

Do ruin tych straszne przywiązane są legendy; opowiadają między innemi naprzykład, że podczas wojen religijnych, gdy pan tego zamku wracał z wyprawy, zwykł był jeńców wojennych wyprowadzać na szczyt stromej skały, wznoszącej się pięć stóp nad Rodanem, i kazał im skakać ztamtąd do rzeki, pod groźbą natychmiastowego powieszenia.

Pewnego razu — mówi legenda — jakiś rezolutny jeniec namyślał się chwilę przed rzuceniem się w przepaść.

— Czemu nie skaczesz odrazu? zapytał go baron.

— Myślę nad tem, czy nie ma sposobu sprawienia panu większej przyjemności, i trzy razy, raz po raz skoczyć.

Ten jeden rys dobrze charakteryzuje barona i świadczy zarazem jak ustaloną cieszył się opinią.

Baron de Mornas, właściciel zamku Adrets, miał żonę, którą kochał niezmiernie.

Była ona córką hrabiego de Cruas, również pana jednego z nadrodańskich zamków, a imię jej było Izabella. Piękność jej słynęła po obu brzegach rzeki, jak daleko wije się Rodan, a wszyscy współcześni trubadurowie opiewali nieporównane jej wdzięki i cudowne czarne jej oczy.

Korzystając z chwilowego pokoju, podpisanego wyjątkowo przez wszystkich nadbrzeżnych baronów, pan de Mornas oddał się cały rozkoszy napawania się szczęściem domowem, obok pięknej i ukochanej Izabelli, a wzorowe ich małżeńskie pożycie wzbudzało zazdrość w kole bliższych i dalszych sąsiadów.

Pewnego wieczora, o późnej godzinie, rozdzierający krzyk rozpaczy dał się nagle słyszeć o stóp zamku szczęśliwego barona. Spuszczono natychmiast most zwodzony, a po chwili ukazała się młoda kobieta cała przemokła wodą i zapłakana. Przyjęto ją z największą uprzejmością, sami nawet baronostwo zeszli na dół, aby ujrzeć nieszczęśliwą i z własnych jej ust usłyszeć jej historyą, którą opowiadała im zalewając się łzami.

— Płynęłam Rodanem w łódce, — mówiła — z mężem moim i dwoma wioślarzami. Nagle zerwała się gwałtowna burza i przewróciła łódź naszą; w jednej chwili poszliśmy wszyscy na dno. Jeden z wioślarzy schwycił mnie za włosy i wyciągnął na brzeg. Tu dopiero odzyskałam przytomność. Poczciwy człowiek rzucił się powtórnie do wody, aby ratować mojego męża, ale Bogu jednemu tylko wiadomo, co się z nimi stało!...

Jechaliśmy do Roquemare, gdzie mąż mój posiada rozległe winnice.

Izabella przyzwała swoje służebne i poleciła im aby miały najtroskliwsze staranie o nieszczęśliwej kobiecie.

Baron, lubiący w chwilach pokoju pochwalić się przed ludźmi łagodnością i dobrocią charakteru, dla zatarcia okrucieństw popełnianych w czasie wojny, dopomagał Izabelli w wykonywaniu obowiązków gościnności.

Następnego poranku, Berenika Cabesting — tak się nazywała nieznajoma — przyszła pożegnać się z baronem i piękną baronową; ale oboje tak serdecznie ją zapraszali, iż po długich naleganiach zgodziła się nareszcie pozostać u nich kilka dni w gościnie.

Któżby mógł był się spodziewać, że cała ta tak zręcznie urządzona machinacya, była tylko strasznym spiskiem, mającym na celu krwawą zemstę!

Berenika udawała w czasie pobytu swego w zamku, bardzo wesołą, a gdy po kilku dniach objawiła chęć zwiedzenia jego wnętrza, tak głośnego na obu brzegach Rodanu, baron nie uważał za właściwe odmówić jej zaspokojenia tak usprawiedliwionej ciekawości; zadowolony przy tem z nadarzonej niespodzianie rozrywki, sam się ofiarował na przewodnika w wędrówce wśród podziemi swego zamczyska.

— O ile jesteś pan strasznym podczas wojny — rzekła Berenika — o tyle w czasie pokoju jesteś pan najuprzejmiejszym z rycerzy!

— To sąsiedzi moi zmuszają mnie do prowadzenia wojen — odpowiedział baron.

— Ale i pan nie jesteś od tego! — odparła z wdzięcznym uśmiechem Berenika.

— O! tak, nie przeczę. My wszyscy mamy wrodzony pociąg do walki, jak pies do polowania, a dzień bitwy zaliczamy do najpiękniejszych dni w życiu.

— Opowiadają, że w ostatniej wojnie zabrałeś pan mnóstwo jeńców? — zapytała obojętnym tonem Berenika.

— Dość wielu.

— Mówią także, że wielu pan zamieniłeś.

— To się rozumie; jak na wojnie: bierze się jeńców, albo samemu dostaje się do niewoli.

— Wspominają również — ciągnęła obojętnie Berenika — że niektórzy z nich umarli w pańskiem więzieniu.

— Nie wielu.

— To zawsze coś znaczy, panie baronie d'Adrets.

— Masz słuszność, piękna damo; ale to także jest prawo wojny. Bywają jeńcy, których się nigdy nie zwraca. Naprzykład, gdybym wziął barona Montluc, wierzaj mi pani, że nigdybym go nie wypuścił.

— A gdziebyś pan osadził barona Montluc, gdybyś go wziął do niewoli? — zapytała Berenika.

— O! mam przepyszną jamę, umyślnie przeznaczoną dla znakomitszych jeńców; pokażę ją pani.

Zeszli do najgłębszych podziemi zamkowych, a tam zatrzymawszy się przed niskiemi drzwiami grubo okutemi żelazem, baron kazał drzwi otworzyć, i zapaliwszy dwie pochodnie opatrzone żółtemi woskowemi świecami, podał z nich jednę Berenice, drugą wziął sam i rzekł:

— Wejdź pani, jeśli masz odwagę.

Berenika schyliła się i weszła pierwsza do więziennej celi, a przyświecając sobie, szybko odczytywała liczne napisy na ścianach; nagle zadrżała, zachwiała się, ale zanim wchodzący właśnie baron, dostrzedz mógł jej pomięszanie, zapytała go zupełnie spokojnym już głosem:

— Jak widzę, wszyscy więźniowie mają zwyczaj wypisywania swoich nazwisk po ścianach, spostrzegłam tu właśnie jedno znajome nazwisko; pokazuje się, że i pan baron Sigoreges, był w pańskiej mocy, panie baronie des Adrets.

— Nie mylisz się pani — odparł baron — a dzielny to był człowiek, mogę panią zapewnić! Podobnego człowieka lepiej zawsze mieć pod kluczem, aniżeli spotkać się z nim w czystem polu. Dał się on dobrze we znaki moim wassalom.

— Pewnego dnia zeszłego roku — opowiadał pan de Mornas — wielce szlachetny sąsiad mój, bujał sobie w okolicach Sorgues, na czele dwóchset włóczni. Spostrzegłszy go, dałem hasło do boju, a miałem przy sobie tylko stu pięćdziesięciu ludzi, prawda że samych wyborowych i tęgich jakby z żelaza wykutych. Starcie było gwałtowne. Sigoreges i ja potykaliśmy się z gorączkowym zapałem; po trzy włócznie złamaliśmy bezskutecznie; czwartą dopiero udało mi się przebić opancerzowany czaprak i zabić konia. Razem ze zwierzęciem runął i rycerz na ziemię. Żołdacy moi porwali go jak ziarnko żyta i unieśli do zamku i umieścili w tej pysznej komnacie — dodał wodząc okiem po ciasnym czarnym lochu, która dzisiaj dostąpiła zaszczyt oglądania w swych murach zacnej i pięknej damy.

— Nazajutrz — ciągnął dalej po chwili — żona jego ofiarowała mi dwanaście uncyi złota jako wykup niewolnika. Nie przyjąłem ofiary, co było rzeczywiście wielce honorową ofiarą z mej strony, bo nie miałem podówczas ani jednego denara w mej kasie. Zaproponowano mi inny układ: baronja Sigoreges ustępowała mnie i męzkim moim potomkom, na wieczne czasy, słynną winnicę Cote-Bénie, wydającą najlepsze bez zaprzeczenia wino na całą okolicę. I to odrzuciłem, a odmowa ta przynosi mi tem większy zaszczyt, że od trzech lat jedynym napojem moim była woda ze studni w zamku Adrets, czułem więc niezmierny pociąg do dobrego wina.

W dalszej rozmowie badając i wypytując się tak nieznacznie, Berenika, a racej pani de Sigoreges, dowie działa się z własnych ust barona, że mąż jej, po wycierpieniu różnych męczarni w owym czarnym lochu, stracony wreszcie został na wyraźny rozkaz samej baronowej, cudownej Izabelli. W obec więc prawa odwetu, baronowę tylko dosięgnąć powinna jej zemsta.

Jeszcze jeden tydzień przeciągnął się pobyt nieznajomej na zamku des Adrets; a gdy nadszedł dzień odjazdu, z serdecznem wylaniem podziękowała gospodarstwu za ich niezwykłą gościnność. W oczach jej nawet łzy zabłysły, owe łzy, które każda kobieta ma zawsze na zawołanie, zwłaszcza w chwilach stanowczych, decydujących.

A potem, zwracając się ku baronowej, rzekła do niej

— Gdybym była bogatą jak hrabia Cruas, złożyła bym pani dar, którego by królowie mogli ci pozazdrościć; ale każdy dar nabiera wartości, jeżeli ze szczerego dany jest serca. Racz też więc pani przyjąć, jako słaby dowód mej wdzięczności ten naszyjnik z ziarn cedrów Libanu, przyniesiony mi z Palestyny przez świątobliwego zakonnika Enguerrand'a, i nie rozstawaj się z nim pani nigdy, gdyż chroni on od wszelkiego nieszczęścia.

Baronowa, zawsze pełna trwogi o swoje życie, chętnie przyjęła ten dar ubezpieczający i zaraz zawiesiła go sobie na szyi.

Tymczasem, naszyjnik ów był dziełem uczonego alchemika z Werony, a składające go ziarna wyrobione z zabójczej substancyi, za dotknięciem się do ciała ludzkiego, rozgrzewały się nieznacznie i zapachem jaki się z nich dobywał, sprowadzały śmierć niechybną.

Trucizna taka nigdy prawie nie zawodzi; następnego poranku, baron ujrzał obok siebie na łożu zamiast cudnej piękności małżonki, zimnego, zlodowaciałego trupa tylko, a w pierwszej chwili rozpaczy, uważając śmierć żony jako sprawiedliwą karę niebios, zrobił ślub, że wstąpi do klasztoru w Bresse, głośnego w owe czasy, ze świątobliwości przebywających w nim mnichów.

Czy dotrzymał słowa i czy ślub wykonał, kroniki współczesne nie wspominają. *J. Méry.*

Od Redakcyi.

PP. którzy za naszem pośrednictwem zaprenumerowali *Złote myśli*, zawiadamiamy, że według otrzymanego zapewnienia od nakładcy, książka ta wyjdzie z druku z końcem Września.

Treść Nr. 56.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.